RODZINA I DZIECKO

N. 3

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR. 3 MARZEC 1937 ROK II

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

19 marca

— PROSZĘ WAS TCHU RESZTKAMI,

KTÓRY NA WYSOKOŚCIACH W MILCZENIE ZASTYGA,

O WEŹCIE NA SIĘ SAMI

TEN CIĘŻAR, KTÓRYM ZA WAS DŹWIGAŁ!

WEŹCIE GO RAZEM, SPOŁEM,

NIECH JEDEN DRUGIEGO NIE ODPYCHA...

...AŻEBYM MÓGŁ PO ZNOJU,

ODPOCZYWAJĄC W POKOJU,

OD KOŁA CICHOŚCI DO WYŻSZEGO KOŁA

CORAZ RADOŚNIEJ UCICHAĆ.

Fragment wiersza Kazimiery Iłłakowiczówny.

„Wiersze o Marszałku Piłsudskim", Warszawa 1936,

Gł. Księgarnia Wojskowa.

Stanisław Dobrowolski.

KONGRES DZIECKA.

W dniu 27 listopada 1936 r. z inicjatywy Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską odbyło się w Warszawie zebranie inauguracyjne Kongresu Dziecka. Wybrano Komitet Organizacyjny. Wiceprezes Kongresu, p. Stanisław Dobrowolski w referacie, który poniżej podajemy, uzasadnił ideę Kongresu Dziecka. Komitet Wykonawczy opracowuje obecnie program Kongresu, którego termin będzie ustalony po otrzymaniu należytej ilości materiałów. O dalszym rozwoju prac Komitetu będziemy informowali naszych czytelników. Adres Sekretariatu Kongresu Dziecka: Warszawa, ul. Koszykowa 19, telef. 8.87-77.

Dzieciom w Polsce, ogólnie biorąc, jest źle, dzieci trzeba ratować.

Powie niejeden — położenie dziecka odpowiada rzeczywistości polskiej.

Nie — położenie dziecka jest poniżej poziomu naszego życia, jest ono gorsze i cięższe niż sytuacja nas — ludzi dorosłych.

Z wielu dzieje się to względów.

Przede wszystkim dziecko — jako istota słabsza, delikatniejsza i będąca w okresie rozwoju — często nie wytrzymuje takich warunków, jakie znoszą ludzie starsi. Mróz 20-stopniowy nie jest to jednakowe zimno dla starego sadu i dla młodych drzewek. Stare drzewa bez szkody go przetrwają, młode — giną, o ile dobry ogrodnik nie otuli ich, t.j. nie stworzy im lepszych warunków bytowania. Podobnie z dzieckiem. Pozbawienie dziecka kubka mleka przy ogólnej nędznej strawie będzie większą krzywdą dla niego, niż dla człowieka starszego, mimo, że objektywnie będą oni w warunkach życia zrównani.

Dusza dziecka jest również wrażliwsza, bardziej plastyczna. Niezasłużoną przykrość, krzywdę moralną dziecko głębiej przeżywa niż dorosły; pozostaje w nim często osad goryczy na długo, odbijając się niekorzystnie na jego rozwoju psychicznym i stosunku do ludzi.

Gdyby więc w naszym życiu dziecko było zrównane w warunkach materialnych i moralnych z dorosłymi, to nawet wtedy położenie dziecka byłoby poniżej naszej rzeczywistości, naprawdę jednak ta sprawa przedstawia się znacznie gorzej. Człowiek dorosły — rzecz naturalna — jest uprzywilejowany w stosunku do dziecka, ma siłę, prawo za sobą i panowanie nad dzieckiem. Regulatorem jego postępowania ma być sumienie i godność. Lecz jakże często dorośli u nas korzystają z tych przywilejów w sposób niesprawiedliwy i niegodny, z krzywdą dla dziecka — słabego i bezbronnego!

Ta świadomość, że rzesze dziecięce cierpią bez winy, że są wstrzymywane w swoim rozwoju, że największe bogactwo nasze niszczeje, jest nieznośna dla sumienia człowieka i obywatela. I z tego poczucia zrodziła się idea ogólnopolskiego kongresu dziecka, jako forma walki z krzywdą i niedolą dziecięcą. Walka ta — zdajemy sobie sprawę — nie jest ani prosta, ani łatwa, ani krótkotrwała.

Dzieci do lat 14 stanowią trzecią część ludności. Życie dzieci jest prawie tak samo bogate w swych przejawach, jak życie dorosłych. Potrzeby świata dziecięcego są bardzo różnorodne zarówno pod względem materialnym, jak i duchowym. Jest to cały odrębny świat. To też określenie charakteru kongresu wymaga poważnego przemyślenia. Trzeba rozważyć, czy kongres ma mieć charakter teoretyczny, czy życiowo - praktyczny, czy ma podjąć sprawę dziecka w całej rozciągłości, czy też ograniczyć się do niektórych ważniejszych zagadnień; czy objąć dzieci, czy jakąś ich kategorię.

Zacznijmy te rozważania od rozpatrzenia źródeł niedoli dziecka u nas.

Pierwszą najbardziej uderzającą w oczy przyczyną braków dziecka jest ogólne złe położenie materialne w kraju. Jeżeli setki tysięcy dzieci nie znajdują miejsca w szkołach powszechnych, jeżeli jest za mało u nas żłobków, zakładów opiekuńczych, przedszkoli, szpitali dziecięcych i t.d., jeżeli dzieci w domach rodzinnych głodują — jest to przede wszystkim wynikiem biedy w rodzinach oraz trudności budżetowych państwa, samorządów i organizacji społecznych.

Dokonać tego będzie można omówionymi już środkami, a mianowicie:

1) przez wytworzenie w społeczeństwie nurtu zainteresowania dzieckiem, jego życiem, jego potrzebami;
2) przez podniesienie poziomu uczuciowego w stosunku do każdego dziecka;
3) przez sharmonizowanie wysiłków wychowawczych i sposobów postępowania z dziećmi czynników rodzinnych i społecznych;
4) przez czujne wnikanie w życie dziecka, ujawnianie niedomagań w tej dziedzinie oraz ustalanie środków poprawy.

Tak pomyślany Kongres musiałby mieć charakter społeczny i życiowy.

Nie powinien on być traktowany odrębnie, jako sam w sobie, lecz jako pierwszy z systematycznie co parę lat powtarzających się kongresów. Nadałoby to wysiłkom nad poprawą położenia dziecka w Polsce charakter ciągłości i trwałości. W ten sposób kongresy mogłyby z ogromu zagadnień wybierać najpilniejsze i najważniejsze w danej chwili dla rozwoju dziecka.

Do realizacji uchwał winny się przyczyniać te liczne organizacje, które zadeklarowały udział w akcji, reprezentujące w sumie miliony członków.

Zasięg kongresu winien być szeroki, obejmować całe państwo. Jest nadzieja, że na kongresie będą reprezentowane władze państwowe, czynniki samorządowe, organizacje społeczne, oddające się sprawie dziecka lub interesujące się nią, wybitni działacze na polu pracy dla dziecka, oraz pracownicy teoretyczni w tym kierunku. Każdy powiat, choćby najdalszy winien mieć swego przedstawiciela, który jednocześnie powinien być na swoim terenie rzecznikiem idei kongresu.

Tak pomyślanemu charakterowi kongresu odpowiadałyby przede wszy-

stkim obrady plenarne, mniej komisyjne. Każde zebranie plenarne byłoby poświęcone jednemu zagadnieniu, jak np. „Stosunek społeczeństwa do dziecka“, „Życie dziecka w świetle jego potrzeb“ i t.p. Takie zagadnienie byłoby rozpracowane przez szereg referatów. Szczegółowe przedstawienie programu kongresu w niniejszym artykule uważam za przedwczesne.

Wyniki kongresu byłyby niewątpliwie głębsze, gdyby udało się zorganizować przy kongresie wystawę, poświęconą życiu dziecka i służącym mu instytucjom.

Na zakończenie pragnę podkreślić, że praca, którą podejmujemy w tak wielkim zespole organizacji i ludzi jest pierwszą tego rodzaju w Polsce. Nigdy na tak szerokim froncie, jak obecnie zamierzamy, nie była podjęta walka o prawo dziecka do życia i normalnego rozwoju.

Akcja ma jeszcze i drugą stronę głęboko społeczną, o której tylko wspomnę. Pogłębiając stosunek do dziecka, pogłębiamy kulturę narodu i budujemy jaśniejszą przyszłość. Nie zmieni się tak daleki u nas od doskonałości stosunek człowieka do człowieka, póki nie otworzą się nasze serca dla czaru dziecięctwa, póki troska o młode pokolenie nie stanie się najważniejszym i najmilszym naszym obowiązkiem.

Stefan Pogorzelski.

ZACHOWANIE SIĘ MŁODZIEŻY POZA SZKOŁĄ.

Młodzież, pozostawiona sama sobie, przebywająca nie w domu, gdzie jest pod okiem rodziców, i nie w szkole, gdzie nad nią czuwa wychowawca, jest o wiele szczersza i bezpośredniejsza w swych odruchach, ma większą swobodę postępowania zgodnie ze swymi instyktami i skłonnościami, a nie pod przymusem. Dlatego też sposób, w jaki młodzież korzysta z tej swobody osobistej, jest wierniejszym sprawdzianem jej wartości moralnej i jej wyrobienia kulturalnego, niż jej zachowanie się w domu i szkole.

Nic więc dziwnego, że liczne alarmy co do jej zachowania się poza szkołą, z różnych pochodzące źródeł, zaniepokoiły zarówno świat pedagogiczny jak i szerokie masy społeczeństwa. Ostatnio w sprawę tę wejrzeć musiały czynniki administracyjne, czego wyrazem było rozporządzenie Komendanta Policji, nakazujące organom policji roztoczenie nadzoru nad młodzieżą szkolną.

Zachowanie się młodzieży poza szkołą jest wskaźnikiem stopnia kultury, do jakiego młodzież doprowadzić zdołały wszystkie czynniki, kształtujące jej charakter. A więc rodzice, otoczenie domowe, szkoła, kościół, znajomi, teatr, kino, prasa, lektura, którą młodzież zdobywa dla siebie często sama, wreszcie, niestety, czasem i ulica. Wszystkie te czynniki ponoszą tedy odpowiedzialność za stan moralny młodzieży i za stan jej kultury. Nie można zagadnienia tego w żadnym wypadku uważać za zagadnienie

szkolne. Jest ono zagadnieniem ogólnospołecznym, a od skoordynowania wysiłków wszystkich wymienionych czynników, a więc całego społeczeństwa, praca nad usunięciem zła winna być rozpoczęta.

Nigdzie też poza naszym krajem sprawa ta nie ma cechy sprawy szkolnej, a stanowi troskę całego społeczeństwa, olbrzymich organizacyj społecznych. Za granicą młodzież naogół nie nosi munduru szkolnego, a więc zlewa się z tłumem mieszkańców danej miejscowości, a jej ewentualne wybryki nie obciążają opinii tego zakładu, do którego uczęszcza. Odpowiada ona za swe postępki indywidualnie i w każdym wypadku ściąga na siebie o s o b i ś c i e potępienie ogółu, który nie interesuje się, jaki zakład naukowy dana jednostka reprezentuje.

W niektórych krajach młodzież nosi mundur, lecz nie szkolny, a świadczący o jej przynależności do wielkich organizacyj państwowo - połecznych. Tam organizacje te nadzorują młodzież i przed nimi odpowiedzialna jest ona za uchybianie godności munduru.

W każdym jednak razie, wszędzie, niezależnie od tego czy mundur istnieje, czy nie, złe lub nieodpowiednie zachowanie się młodzieży w wieku szkolnym spotyka się z żywą, natychmiastową reakcją ze strony świadków — osób starszych. Łamiąca zasady uczciwości czy przyzwoitości młoda istota widzi dokoła siebie jednolity front osób starszych, wyczytuje w ich postawie wyraźną dezaprobatę. Im społeczeństwo samo jest więcej zwarte i zorganizowane, tym reakcja bywa pewniejsza, kategoryczniejsza. Im społeczeństwo na wyższym stoi poziomie kultury, tym wymagania od młodzieży są większe.

U nas młodzież nosi mundury szkolne. Na każdym kroku reprezentuje ona szkolnictwo, a nawet poszczególne szkoły; każdy krok jej, każdy postępek w osądach opinii łączy się z nazwą szkoły. Natomiast społeczeństwo nasze wykazuje obojętność, gdy chodzi o troskę o zdrowie moralne naszej młodzieży. Nie zdobyliśmy się ani na potężne organizacje opieki nad młodzieżą, ujmujące w karby jej życie pozaszkolne i dostarczające jej godziwych rozrywek, ani na jednolity system reagowania na smutne objawy. Osoby, które reagują na złe zachowanie się młodzieży bądź to z obowiązku, bądź z własnego wewnętrznego impulsu, narażone są na nieprzyjemności nie tylko ze strony rozwydrzonego ucznia, ale nawet ze strony przypadkowego otoczenia, które bierze często stronę „szykanowanej" jednostki.

Nie czas tu i miejsce na szczegółową analizę przyczyn takiego stanu młodzieży i takiej postawy społeczeństwa. Fakt, że młodzież staje się od czasu do czasu klientką organów bezpieczeństwa, jest sam w sobie smutny i groźny. Lecz ta młodzież, zanim doszła do tego stanu, że policja musi się nią zająć, przecież nie odrazu zatraciła poczucie godności osobistej i uczciwości. Przecież musiała ona znieczulać się stopniowo pod względem etyki, stopniowo załamywać. Musiała wzrastać w pewnej atmosferze,

w warunkach sprzyjających dojrzewaniu w niej zła, musiała być pozbawiona wpływów odpowiednich, mieć złe przykłady i t. d.

O tę więc atmosferę dla młodzieży chodzi. Społeczeństwo musi otrząsnąć się z obojętności w sprawie dla niego najważniejszej, bo decydującej o przyszłości narodu. Społeczeństwo musi wykazać silną, nieustępliwą wolę w zwalczaniu zła. Musi powstać gromadny wysiłek wszystkich uspołecznionych jednostek w celu stworzenia organizacji, obejmującej jak najszersze masy obywateli, którzy do tego zagadnienia podejdą nie od strony troski jedynie o własne dzieci, lecz o całą młodzież; którzy używają wszelkich wpływów na otoczenie, aby je do wspólnej akcji zachęcić. Akcja ta musi użyć wszelkich możliwych środków propagandy, musi tępić zło. Na środowiska, gdzie spekulacja i chęć zysku żeruje na lekkomyślności młodzieży, wskazywać należy tak, jak się dziś wskazuje na siedliska tyfusu czy grypy.

Jeżeli troska o moralne zdrowie młodzieży ma obowiązywać wszystkich, to, ma się rozumieć, obowiązuje ona także i szkołę, która jest instytucją społeczną, a obowiązywać ją musi w pierwszym rzędzie, gdyż szkoła po rodzicach stoi najbliżej dziecka.

Szkoła winna użyć wszelkich dostępnych jej środków, skierować ku tej sprawie wszelki swój wpływ na młodzież, całą swą inwencję pedagogiczną. Winna podwoić czynność swą i gorliwość, uaktywnić grona nauczycielskie, aby zagadnieniom wychowawczym poświęcały jak najwięcej czasu i uwagi. Koniecznym jest wdrażanie młodzieży do szanowania przepisów szkolnych, które są przecież jedynie formą zewnętrzną doniosłych obyczajowych i etycznych nakazów.

Stąd wypływa potrzeba, aby młodzież z przepisami i wymaganiami szkoły była pogodzona duchowo, żeby je traktowała tak, jak harcerstwo traktuje swe obowiązki, przyjęte na siebie dobrowolnie. W imię tego niektóre szkoły, układające regulaminy szkolne, pociągają do wypowiadania się w tej sprawie młodzież, która rozważa i dyskutuje nad poszczególnymi punktami.

W wielu szkołach istnieje dobrze rozwijający się samorząd uczniowski. Skierowanie społecznych instynktów młodzieży w ten sposób, aby sama ona wytworzyła zwartą, silną opinię koleżeńską, zajmującą właściwą postawę wobec jednostek, nie dbających o honor munduru, musi być ostatecznym celem pracy wychowawczej w tej dziedzinie.

Cel ten szkoła osiągnąć może jedynie pracując w ścisłym porozumieniu z domem, z rodzicami, z Komitetami Rodzicielskimi. Musi być pełna harmonia między tymi czynnikami, każda rozbieżność bowiem w postępowaniu z młodzieżą osłabia znaczenie wymagań i nakazów moralnych.

Z inicjatywy P. Kuratora Okręgu Szkolnego Warszawskiego zagadnieniem tym zajęły się organizacje dyrektorskie, które wyłoniły komisję, mającą opracować wytyczne pracy w tej dziedzinie. Komisja uchwaliła pew-

ne zasady postępowania i wymagań od młodzieży, jakie znaleźć się winny w regulaminie każdej szkoły. W ten sposób przez ujednostajnienie wymagań i egzekutywy we wszystkich szkołach dąży się do wytworzenia wspólnego frontu.

Szkolne czynniki ruszyły więc do walki ze smutnymi objawami w życiu naszej młodzieży — owocność ich usiłowań zależną jednak będzie od ustosunkowania się do tej sprawy całego społeczeństwa.

Dr. Władysława Hoszowska.

MŁODZIEŻ W ORGANIZACJACH.

W dwóch głównie środowiskach wychowawczych, w rodzinie i szkole, kształtują się, jak dotąd, cechy psychiki młodego pokolenia. Ciągłość i harmonijność tego procesu zależy od uzgodnienia stanowisk rodziny i szkoły w zakresie celów i metod wychowania; muszą więc te dwie instytucje porozumiewać się w zakresie istotnych zagadnień wychowawczych oraz współdziałać w ich rozwiązywaniu.

Jednym z najważniejszych zagadnień wychowawczych naszych czasów, a domagającym się zajęcia przez rodzinę i szkołę zdecydowanego stanowiska — tak co do założeń jak metod wychowawczego postępowania — jest zagadnienie życia organizacyjnego współczesnej młodzieży.

Staje się ono bowiem jakby trzecim z rzędu środowiskiem wychowawczym, a dzięki rozrostowi swej sieci, bogactwu celów i swoistym cechom zaczyna w ostatniej dobie uzyskiwać takie znaczenie, że może stać się poważnym konkurentem dla dwóch tradycyjnych ognisk wychowania.

Możliwości atrakcyjne organizacyj młodzieżowych tkwią mianowicie w ich swoistych cechach, których w tym zespole z natury rzeczy nie mogą posiadać ani dom ani szkoła.

Tworzą je bowiem zespoły rówieśników i rówieśniczek, związanych dobrowolnie przyjętymi na siebie zadaniami i samodzielnym ich wykonywaniem, przyczym zadania te przy pełni swej konkretności wykluczają w zasadzie interesy i cele egoistyczne. Zespół zatem trzech czynników (równość wieku, dobrowolność w wyborze konkretnych zadań i samodzielność), składa się na główne cechy organizacyj młodzieżowych; one też różnią to nowe środowisko wychowawcze od rodziny i szkoły.

Jeśli bowiem nawet przyjmiemy tak wysoki poziom kulturalny życia rodzinnego, taką jego atmosferę etyczną i społeczną, że mogłoby ono stanowić dla dziecka punkt wyjścia do swobodnego wyboru bezinteresownych zadań w życiu pozaszkolnym — to siłą rzeczy dana jednostka nie znajdzie w swojej rodzinie zespołu rówieśników, tylko starsze lub młodsze rodzeństwo, oddzielone od niej często głęboką różnicą przeżyć i zainteresowań.

Brak ten uzupełnia coprawda szkoła, skupiająca młodzież w grupach naogół rówieśnych, bo w zespołach klasowych; z drugiej jednak strony musimy stwierdzić, że ze względu na swoje ściśle określone zadania społeczne, a głównie dzięki swej masowej strukturze organizacyjnej — nie może ona w pełni realizować ani postulatu istotnej swobody wyboru zadań, ani też zupełnej samodzielności w zakresie ich realizacji.

Wszystkie dotychczasowe próby reformy szkolnictwa, zmierzające do realizacji tych postulatów, musiały z natury rzeczy zatrzymać się w tych granicach, w których wybór materiału i metod pracy pozostaje przy nauczycielu. Zapewne, że arbitralność w tym względzie została w bieżącej epoce złagodzona, uwzględnia się bowiem w pracy szkolnej w miarę możności zainteresowania indywidualne młodzieży, rozbudza się jej aktywność i t.p.; niemniej jednak — musimy sobie szczerze powiedzieć, że, mimo wszystkich dążeń i wysiłków reformatorskich, szkoła współczesna pozostała głównie źródłem wiedzy, i to w dużym stopniu standaryzowanej, jak też kuźnią standaryzowanych metod pracy.

I inaczej być nie może. Szkoła współczesna — jak w każdej innej epoce — jest funkcją życia społecznego. Młodzieńca wstępującego w życie, pytają, co wie i umie, a nikt naogół nie bada walorów jego charakteru, jako członka społeczeństwa. Postulaty w zakresie tych wartości nie występują w świadomości społecznej jako coś istotnego.

Tymczasem całe współczesne życie społeczne, nabrzmiałe mnóstwem wielorakich konfliktów i zagadnień, domaga się wychowywania ludzi, nie tylko uzbrojonych w kwalifikacje do pracy zawodowej, ale i wzbogaconych na tyle rozwiniętym sumieniem społecznym i wrażliwością etyczną, żeby byli zdolni realizować życie, oparte na moralnych kryteriach stosunku człowieka do człowieka.

Mimo wielu złudzeń i sugestyj, ani szkoła ani rodzina nie stworzyły takich warunków, któreby zapewniły wyrobienie cech psychiki młodego pokolenia, pożądanych z punktu widzenia niedodoborów kultury współczesnej. Kto wie, czy źródła tych niedoborów nie należało by między innymi szukać w wyłączności, jaką usiłują zachować w zakresie wychowania dom i szkoła.

Życie bowiem rodzinne, przebiegające w normalnych warunkach, przedstawia się jako współżycie zespołu istot, związanych zarówno wspólnością biologicznego podłoża, jakie je wydało, jak wspólnością przeżyć i nawyknień, wytwarzanych przez wzajemne wpływy, oraz węzłami tradycyj, kultywowanych w rodzinie mniej lub więcej świadomie. Życie w takim zespole kształci i rozwija cenne elementy kultury uczuciowej, jak tkliwość i subtelność uczuć, zdolność do bezinteresownego przywiązania i solidarność rodzinną, wynikającą z pobudek czysto uczuciowych — a więc nawet wbrew szerszej grupie społecznej.

Jednak kultura uczuciowa życia rodzinnego — podobnie jak każdego in-

nego współżycia, opartego na instynkcie i uczuciu — nie wyklucza egoizmu, posuniętego nawet do brutalności, w stosunku do ludzi z poza kręgu rodziny. Godzi się tu często w nadmierną nieraz wrażliwość na sytuację życiową swoich najbliższych — z zoologiczną bezwzględnością w stosunku do człowieka w tak zwanej walce o byt.

Zazwyczaj uważa się, że braki wychowania rodzinnego w zakresie uczuć społecznych uzupełnia wychowanie szkolne, jako oddziaływanie na młodzież, zgrupowaną w zespoły klasowe rówieśników. Jednakże korektura ta okazuje się naogół połowiczną.

Szkoła bowiem — z przyczyn wyżej wymienionych — zachowuje ciągle charakter instytucji przede wszystkim nauczającej, oddziaływa więc głównie na sferę intelektualną młodzieży, a miarą jej wartości pozostaje to, w jakim stopniu zdoła wdrożyć swych uczniów w rozmaitego rodzaju t e c h n i k i, już to niezbędne w dobie współczesnej cywilizacji dla każdego (jak mówienie, czytanie, pisanie, rachowanie i t.p.) — już to potrzebne do dalszego kształcenia się lub zawodu.

Życie organizacyjne młodzieży wrzyna się więc — jak dotąd — jakby klinem zarówno w życie rodzinne jak szkolne i stanowi o d r ę b n e ś r o d o w i s k o s a m o w y c h o w a w c z e. Odrębności tej nie niweluje w sposób istotny okoliczność, że szkoła niejednokrotnie żywo inspiruje organizacje młodzieżowe i otacza je opieką — gdyż, mimo najlepszych nieraz chęci, nie zdoła związać ich organicznie z życiem szkolnym.

Istota odrębności tego środowiska polega na tym, że wykazuje ono i zwolna ustala pewne cechy d y n a m i c z n e, mogące w odpowiednich warunkach złożyć się na poważny czynnik samowychowania społecznego.

Podstawową cechę dynamiczną organizacyj młodzieżowych tworzy okoliczność, że w nich młodzież może się zetknąć bezpośrednio z wymaganiami życia realnego poza rodziną, a więc społecznego w szerszym znaczeniu tego słowa — przed czym rodzina, o ile tylko może — stara się młodzież raczej uchronić.

To realne życie społeczne wymaga mianowicie od młodzieży pełnienia pewnych k o n k r e t n y c h f u n k c y j, które — jakikolwiek będzie ich wymiar, w zależności od wieku, rozwoju i poziomu zainteresowań — zawsze przedstawiają t ę s a m ą (pod względem jakościowym) w a r t o ś ć samowychowawczą.

Czy będą to bowiem pospolite zabiegi, mające na celu utrzymanie ładu i schludności w pomieszczeniach szkolnych, czy funkcje organizacyjne, jak prowadzenie świetlicy, czy spółdzielni szkolnej, czy też funkcje opiekuńcze, dotyczące materialnej pomocy lub pomocy w trudnościach pracy umysłowej i t.p. — zawsze mają one na celu kształtowanie pewnej społecznej rzeczywistości. Procesy zaś, składające się na dany wysiłek, będą się zawsze przedstawiały jako: p r z e z w y c i ę ż e n i e e g o i z m u,

i to nie pod naciskiem karności, organizowanej przez starszych, ale z własnej woli, lub w uznaniu sankcyj karności samorządnej; przemyślenie planu działania i metody pracy oraz samokontrola.

Trud głównie moralnej natury, odjęty młodzieży w dwóch innych środowiskach wychowawczych, w rodzinie i w szkole — tu spoczywa w całości na jej barkach — nikt bowiem z zewnątrz nie dzieli z nią odpowiedzialności za wyniki pracy.

Pozostawiona samej sobie, wolna od bezpośredniego oddziaływania czynników, stosowanych w domu i szkole, musi uświadomić sobie, co potrafi wykonać z realnych zadań dobrowolnie i samodzielnie.

Równocześnie wzrasta zdolność odczuwania życiowej sytuacji innych ludzi. Już nie tylko członkowie rodziny czy kolega z tej samej ławki szkolnej, ale cała grupa zorganizowana i jej członkowie stają się przedmiotem uczuciowego, a tym samym aktywnego zainteresowania.

Wzrasta też krąg bezpośredniego poznania w zakresie stosunków społecznych. Pełniąc bowiem różne funkcje w organizacjach oraz obserwując działalność swych kolegów w tym zakresie, poznaje różnorodność wzajemnych świadczeń społecznych, a tym samym w sposób konkretny, bo z przeżycia, uświadamia sobie znaczenie wymiany różnorodnych wartości, które tworzy życie społeczne.

Życie organizacyjne, dające młodzieży możność bezpośredniego zapoznania się ze zjawiskami społecznymi — zanim otrzyma ona w szkole teoretyczny jego obraz w postaci syntez i definicyj — chroni ją przed doktrynerską łatwizną myślową.

Co więcej — młodzież, zdobywszy z przeżycia kryteria oceny przejawów życia społecznego (dodatnich i ujemnych), będzie miała zawsze żywą świadomość, że życie społeczne kształtuje sam człowiek, a zatem on sam tylko odpowiedzialny jest za jego poziom.

O ile życie organizacyjne w ciągu szeregu lat kształci charakter i inteligencję praktyczną młodzieży — to z masy zbieranego na tej drodze materiału przeżyć i doznań wyłania się zwolna istota dobra wspólnego, jako wartości nadrzędnej w stosunku do interesu jednostki i rodziny. Zasięg uczuć i świadomości w zakresie życia społecznego wzrasta, a wraz z rozszerzeniem się kręgów poznawanej rzeczywistości tworzy się postawa czynna jednostki, już nie tylko w stosunku do rodziny i szkoły „naszej wsi“ czy „naszego miasta“, ale w stosunku do kraju, państwa i t.d.

Jakie konkluzje z powyższych rozważań nasuwają się dla wychowawców młodzieży w rodzinie i szkole?

Pierwszą z nich jest konieczność szanowania i doceniania życia organizacyjnego młodzieży, bo tylko w ten sposób utrwali się powszechnie jej poważny stosunek do tych spraw.

Powtóre — organizacje młodzieżowe muszą być przejawem pełnej spontaniczności i ochotniczości, zarówno w formie jak tre-

ści. Starsze pokolenie może swoim umiarkowanym i dyskretnym wpływem o tyle nadawać im kierunek, by zawsze były ośrodkiem praktycznego współżycia i współpracy młodzieży, oraz w zdobywaniu metod pracy społecznej.

Wszelkie przyspieszanie ich rozwoju byłoby błędem; winny one rozwijać się naturalnie i swobodnie i zawsze w zależności od warunków życia i dążeń młodzieży.

Aktywna postawa rodziny może się tu ujawnić w udzielaniu młodzieży porady i informacyj o formach pracy organizacyjnej; np. ojcowie i matki, pracujący na polu społecznym (instytucje humanitarne, biblioteki, kasy i sklepy spółdzielcze) mogą w przystępnych pogadankach dzielić się z młodzieżą swym doświadczeniem.

Szkoła natomiast winna uznać materiał doświadczeń, zdobywany przez młodzież w organizacjach — za podstawę i punkt wyjścia do ogólniejszych rozważań na lekcjach odpowiednich przedmiotów.

W ten sposób organizacje młodzieżowe, czerpiąc z jednej strony w rodzinie z doświadczeń szerszego życia społecznego — z drugiej, zdobywając przez szkołę pogłębienie świadomego stosunku do spraw społecznych — mogą stać się czynnikiem o znaczeniu społecznym równorzędnym z organizacjami starszego pokolenia.

Janina Buchholtzowa.

JESZCZE O „GRZECHACH SZKOLNYCH".

W rzucie oka na dwudziestoletnią działalność Ligi Nowego Wychowania, pisze p. Ensor, jej twórczyni i długoletnia prezeska: „Postęp w wychowaniu w ciągu ostatnich 21 lat sprawił, że życie szkolne dziecka stało się dla niego okresem o wiele szczęśliwszym, zdrowszym... Stosunki z kolegami są o wiele mniej oparte na rywalizacji, dawanie i otrzymywanie pomocy koleżeńskiej przestały być „przestępstwem szkolnym", stosunek dziecka do nauczyciela ma w sobie mniej lęku, za to więcej przyjaznego zaufania" *(New Era,* listopad 1936 r., str. 263).

A u nas? Owszem, stanowczo w szkole dzisiejszej dziecko czuje się szczęśliwsze, niż w dawnej, stanowczo stosunek do nauczyciela stał się przyjaźniejszy i ufniejszy, ale kwestia „grzechów szkolnych", podpowiadania i ściągania, pozostała nadal aktualna.

Oburzają się rodzice na „nieuczciwość dzieci, (patrz „Rodzina i Dziecko", Nr. 2 i 7 1936 r.), grzmią ex cathedra władze szkolne, przyrównywując te młodociane wyczyny do sfałszowania weksla. Pocieszmy się, nie tylko nas gnębi ta bolączka. Trapi ono również i szkolnictwo francuskie. Zagadnienie „fraude scolaire" i tam stanowi przedmiot dyskusyj.

Pewien nauczyciel, *(Education,* kwiecień 1936, str. 115) twierdzi, że

przy liczebności i ciasnocie klas (po 2-ch, 3-ch uczniów w ławce) „trzeba być świętym, żeby nie oszukiwać".

Spójrzmy i my na tę sprawę od strony ucznia. Są ci, którzy pomagają i ci, którzy z pomocy korzystają.

Postawmy się w położenie tego kolegi, który umie przedmiot świetnie, a na którego zwracają się błagalnie oczy delikwenta w opałach. Postąpić w myśl wskazań rodziców i władz szkolnych? Odmówić pomocy? To dopiero byłby grzech, który kamieniem zaciążyłby na sercu ucznia, chcącego być „wzorowym". Kto pomocy odmawia, uchodzi wśród kolegów za marny charakter, za „lizusa", mybyśmy powiedzieli — za karierowicza.

Zastanówmy się, jaki to typ ucznia odmawia pomocy koledze. Ubogie, tchórzliwe natury, „kujony" zazdrosne o własną wiedzę, złośliwe typy neuropatycznych, aspołecznych dzieci, albo te nieznośne „„wzorowizny", przyszli biurokraci, przyszli tępi i bezduszni „Prinzipienreiter". Vox populi klasy ma słuszność. Pomocy odmawiają typy ujemne.

Oczywiście, zbyt skwapliwe podpowiadanie, zamiast pomóc, szkodzi często koledze, oczywiście, wprowadzanie w błąd nauczycieli przez udzielanie „ściągaczek" odbija się nieraz źle na losach ucznia, któremu klasówka się „upiekła" dzięki nielegalnej pomocy.

Oczywiście, lepiej jest wpłynąć na tych pomagających, żeby pomocy swej udzielali nie w czasie lekcyj, a przed lekcjami, wyjaśniając rzeczy trudne mniej zdolnym kolegom.

Ale czy ma odmówić pomocy ten, na którego zwrócone są błagalne oczy kolegi? Czy nie skoczyć na ratunek tonącemu, obiecując wzamian nazajutrz udzielić mu lekcji pływania? Czy nie podpowiedzieć temu, który się nagle nerwowo zaciął, a tu nauczyciel czeka na odpowiedź, albo czas już kończyć klasówkę? Taką pomoc daje się wręcz odruchowo, a wszelkie rozumowe kalkulacje w podobnej chwili dowodziłyby (tak, słuszność mają dzieci) oschłości serca, zimnej, aspołecznej natury.

Co do tych, którzy pomocy żądają, to pewno, że należy budzić w dzieciach poczucie odpowiedzialności, a nade wszystko podtrzymywać w dziecku wrodzony popęd do samodzielności, tak często tłumiony przez rozpieszczające lub despotyczne wychowanie. Trzeba, żeby uczeń dobrze zrozumiał, że podszywanie się pod cudzą pracę nie przyniesie mu ani korzyści, ani zaszczytu.

Pomocy żądają, oczywiście, wszelkie szkolne leniuszki, rozpieszczone mamine synki i córeczki, chcące, żeby wszystko przyszło do nich gotowe, bez wysiłku z ich strony, ale szukają jej również dzieci nerwowe, pilne, a zanadto przejmujące się sytuacją. Może dzieci zahukane, może takie, które w domu uczyć się nie mogą, bo ojciec z matką się kłóci, bo niesforne rodzeństwo przeszkadza, bo tata lub mama odrywają od roboty, żądając jakichś drobnych usług. Dzieci zniechęcone do pracy, dzieci, które straciły wiarę w swoje powodzenie szkolne, ale czy tak, czy inaczej, dzieci, dla

których w danej chwili niebezpieczeństwa chodzi o jedno: za wszelką cenę uniknąć złego stopnia!

I tu stajemy wobec zasadniczej strony zagadnienia, wobec systemu. Cała kwestia podpowiadania i ściągania powstaje na tle pewnego systemu szkolnego, systemu, powiedzmy sobie, niesłychanie trudnego do zniesienia, bo jest oparty na tradycji i rutynie. Szkoła z nauczającej przemienia się w wychowującą, pedagogika współczesna chce być pedagogiką socjalną, która stawia sobie za cel przygotować człowieka do harmonijnego współżycia z innymi; nie tak łatwo jednak jest zmienić dawną „szkołę bierną“ na szkołę „czynną“, która bardziej by odpowiadała dążeniom i zamierzeniom pedagogiki nowoczesnej. „...System stopni nieuchronnie związany jest ze szkołą bierną. Znieść system stopni, pozostawiając dawny system — to znaczy walczyć z objawami choroby, nie niszcząc samego niedomagania“. (Hessen, Podstawy pedagogiki, str. 126).

Zagadnienie stopni przestaje istnieć automatycznie w szkole czynnej, czy to przy systemie Decroly, czy Winnetka, czy przy zastosowaniu planu Daltońskiego.

Rzecz prosta, że takie przeistoczenie całego szkolnictwa pociągałoby za sobą niezliczone trudności natury materialnej, to też nie może się ono odbyć z dnia na dzień, w tym kierunku jednak zmierza nasza myśl pedagogiczna.

W każdym razie samo wytworzenie się konfliktu dwóch jakby etyk, etyki koleżeńskiej i etyki posłuszeństwa nakazowi dorosłych, świadczy, że coś u samego źródła tego konfliktu nie jest w porządku. Zakaz podpowiadania i ściągania jest w dzisiejszym stanie rzeczy nieunikniony, ale z konieczności nie trzeba zaraz robić cnoty, bo dzieci w swym nieomylnym poczuciu sprawiedliwości wyczuwają całą nieszczerość i sztuczność takiego postawienia sprawy.

Dopóki nie zmieni się system, przy którym stopień jest kwestią życia i śmierci dla ucznia, wiele dopomóc może osobisty talent i takt nauczyciela. Jeżeli potrafi zdobyć zaufanie uczniów, jeśli jest przenikliwym psychologiem, znawcą młodzieży, to na jego lekcji bolączka „grzechów szkolnych“ napewno mniej da się odczuć.

Tu jednak musimy sobie i z tego zdać sprawę, że szkoła nowoczesna, która chce nie tylko uczyć, ale i wychowywać, stawia nauczycielowi wprost nadludzkie wymagania. Musi nie tylko znać swój przedmiot i umieć nim zainteresować uczniów, ale znać nawet psychologię zarówno teoretycznie jak i praktycznie, musi umieć współżyć z młodzieżą, musi być człowiekiem „współczesnym“, świadomym wszystkich prądów, nurtujących dzisiejszą rzeczywistość, żeby mógł być tej młodzieży kierownikiem i doradcą.

Warunki zaś, zarówno osobiste (złe uposażenia, przeładowanie pracą), jak i szkolne (liczebność klas) utrudniają mu na każdym kroku i tak już trudne zadanie.

Więc nie na jednego nauczyciela zepchnąć trzeba cały trud zapobiegania sytuacji, wytwarzającej się w szkole, sytuacji, która wzbudzając w młodzieży psychozę stopni, pociąga za sobą tak potępiane „grzechy szkolne“.

Zanim się dzisiejsza szkoła zmieni całkowicie w szkołę czynną, gdzie praca oparta jest na współpracy, trzeba żeby w tej szkole obecnej, która już o tyle lepsza jest i radośniejsza od dawnej, rodzice współdziałali naprawdę z nauczycielem, nie podkopując w dziecku zaufania do szkoły, a nade wszystko nie forsując po przez dziecko własnej (jakże dziecinnej) ambicji.

Ambicje rodziców co do stopni dziecka są, jak wiemy, źródłem codziennych rozdźwięków między nauczycielstwem a rodziną, są źródłem tej atmosfery drżenia i lęku, dochodzącej czasem do paniki, która sprawia, że dziecko podczas klasówki, czy odpowiedzi szkolnej wpada w stan nerwowego zacięcia się i wtedy naprawdę potrzebuje pomocy kolegów. Stosunek rodziców ambitnych do złych stopni dziecięcych bywa nieraz przyczyną depresyj nerwowych dziecka, zniechęcenia do nauki, a czasem nawet, znamy i takie wypadki, samobójstw młodzieży.

Oburzanie się na „nieuczciwość“ dzieci, które ściągają i korzystają z podpowiadania, nie rozstrzyga sprawy. Zasadniczą tu rzeczą jest wychowanie, któreby nie odbierało dziecku wiary we własne siły, któreby podtrzymywało w nim odwagę, nawet w znoszeniu drobnych porażek i niepowodzeń, i któreby nie kładło głównego nacisku na rozdmuchiwanie jego ambicji, a na radość ze zdobywania wiedzy i z pokonywania trudności.

DOM A PRACA DZIECKA.

— Nie wiem, co robić z tą moją Danką — narzeka jedna z matek — siedzi nad lekcjami do późnej nocy, rano dobudzić jej nie można, po powrocie ze szkoły jest tak zmęczona, że nie ma wcale apetytu, a nad książkami zasypia...

Jakiż to może być powód? Czyżby Danusia była chora, przemęczona pracą lub niezdolna?

Chcąc odpowiedzieć na te pytania, musimy zanalizować je poszczególnie.

Przede wszystkim kwestia zdrowia. Danusia jest dziewczynką zdrową dobrze zbudowaną, nie posiada żadnej organicznej choroby, nawet anemii i gruczolów powiększonych, tak rozpowszechnionych w wieku szkolnym.

A może nadmiar zadawanych prac domowych? Bynajmniej. Sama Danusia utrzymuje, że lekcje są dobrze rozplanowane i dziewczynki mają na ogół sporo wolnego czasu.

Pozostaje sprawa trudności przyswajania. Danusia ma opinię dziewczynki zdolnej, lecz niedbałej i roztargnionej.

By ustalić przyczynę tego roztargnienia musimy wniknąć w warunki domowe.

Matka jest ciągle zajęta swoimi sprawami i w domu rzadko przebywa, a gdy się zdarzy, że po obiedzie lub wieczorem ma trochę czasu — jest tak zmęczona, że o zwróceniu uwagi na Danusię, przypilnowaniu jej przy odrabianiu lekcji, spaniu lub jedzeniu — mowy nawet nie ma.

Danusia ze szkoły nie odrazu wraca do domu, lecz wstępuje do cukierni na rurki. Obiad oczywiście je z przymusem. Bierze się do czytania książki, nie należy ona wprawdzie do lektury obowią-

zującej w szkole, lecz jest taka ciekawa, że oderwać się trudno. Zapomniała o lekcjach bieżących, a także o zaległościach i ostatnim terminie oddania pracy domowej z geografii, na którą pozostawione były dwa tygodnie czasu. Na czytaniu upłynęło wiele godzin, lecz Danusia straciła ich rachubę. Spojrzawszy na zegar, gorączkowo przystępuje do lekcji. Zagłębiona w zadaniu na twierdzenie Pitagorasa, przypomina sobie o pracy z geografii. Kiedy się do niej zabierze? A tu jak na złość tyle zadane z fizyki... ta zasada bezwładności i prawo oporu ośrodka... Zupełnie tego nie rozumie, choć pani długo tłumaczyła w klasie i przerabiały odnośne ćwiczenia. Danusia jednak zupełnie skupić się nie mogła, gdyż poczuła się tak zmęczona i senna, że dostała formalnego napadu ziewania. Nie sprawdza jej się na dobitek geometryczne zadanie, postanawia więc jutro wstać wcześniej i w szkole przepisać je od koleżanki. Pozostałe lekcje odrabia po łebkach, w nadziei, że podczas robót ręcznych uzupełni braki. O dziesiątej rozpoczyna geografię. Po skończonej pracy jest bardzo zmęczona, lecz nie zasypia odrazu. Rozmyśla, jak będzie jutro? Czy sobie poradzi?

Nazajutrz zamiast pójść wcześniej do szkoły, jak to planowała — zasypia i idzie na następną godzinę. W szatni jest kontrola spóźnień i zapisują w dzienniczku. Danusia woli raczej stracić lekcję, niż narazić się na uwagę.

Podczas pauzy rozmawia z koleżanką.

— Powiedz mi Halu, jak ty to robisz, że zawsze masz czas na wszystko?

— Jakto jak? — bardzo prosto i nie jest to wcale moją zasługą; w domu wszystko idzie według zegarka, nie daj Boże, żebym się kiedy położyła spać za późno lub wstępowała gdzie po szkole.

— I cóżby się stało, gdybyś wstąpiła?

— A to by się stało, że musiałabym jeść obiad sama, bo przecież nikt by na mnie jedną nie czekał, gdy wszyscy schodzą się punktualnie.

— A rano, czy cię pilnują, byś nie zaspała?

— Wyobraź sobie, że nie, budzę się sama i zawsze o jednej porze.

— To chyba tylko tobie coś podobnego się zdarza! A kiedy masz czas na czytanie?

— Zaraz po odrobieniu lekcji biorę się do lektury obowiązującej, a potem biegnę jeszcze nieraz na ślizgawkę.

Danusia, pełna dobrych postanowień wraca do domu i prosi o obiad. Okazuje się, że mamusi nie ma, telefonowała, że będzie jeszcze długo czekać u fryzjera, gdyż godzina jej została zajęta. Wziąć się do lekcji, czy zaczekać — myśli Danusia — i tak trzeba będzie później zaczynać na nowo... Czas jej schodzi na niczym. Czuje głód. Sięga do kredensu, gdzie leży jej ulubiony placek z jabłkami. Zjada kilka kawałków. Jakże by chciała pracować systematycznie i wydajnie jak Hala, lecz ciągle natrafia na przeszkody i nie wie, czemu przychodzi jej to z taką trudnością.

Wraca mamusia. Przynosi masę sprawunków: owoce, ciastka, przekąski.

— Danusiu, pomóż mi robić kanapki, ach, zapomniałam, przecież pewno jesteś bez obiadu, a ja nic jeść nie będę, gdyż spotkałam znajomych i zaciągnęli mnie do kawiarni.

— Tak nieprzyjemnie jeść samej — myśli Danusia. Mamusia jej nie zdaje sobie sprawy, że dobry nastrój przy obiedzie jest także niezbędnie potrzebny do pobudzenia apetytu.

Danusia zasiada do lekcyj. Tak jej idzie składnie jak nigdy.

Nagle otwierają się drzwi — przybywają goście.

— Danusiu, dziecko drogie, zapnij mi tę kryzę u szyi i ubierz się prędziutko, wyjdziesz do gości i podasz ładnie czarną kawę na tych teneryfowych serwetkach, co leżą w szafie na półce...

Danusia ma już na końcu języka, że jeszcze nie odrobiła lekcyj, lecz milczy, nie potrafi niczego odmówić mamusi, a i pokusa jest dość silna.

Mamusia jej w tym wypadku pojąć nie może, że przerywa dziecku cały wa-

tek myśli i sprawia wielką dystrakcję w pracy.

Jeszcze kilka ostatnich zdań w zeszycie. Stolik, na którym pisze Danusia, jest koniecznie potrzebny, gdyż rozłożony służyć będzie do gry w brydża.

Gości zebrało się sporo. Jest i trochę młodych, więc przy patefonie potańczą do jedenastej, wszak to dziecinna godzina.

Danusia tego wieczora zasypia o 12-ej w nocy, nazajutrz ma wstać o 6½ rano. Trzy godziny drogiego snu zostały jej ukradzione.

Następuje wywiadówka w szkole.

— Niech pani zwróci uwagę na wygląd Danusi, ma takie zmęczone, jakby niewyspane oczy i na wadze jej ubywa — zaznacza lekarz szkolny.

— Danusia na lekcji nie uważa, przychodzi do szkoły nieprzygotowana, jest to tym dziwniejsze, że jest to dziewczynka zdolna i mogla by się uczyć dobrze — informuje wychowawczyni.

Sylwetka Danusi budzi różne refleksje.

Organizm tej dziewczynki jest silny i odporny — jedynie senność i ubytek na wadze świadczą o zakłóceniu jego fizycznej równowagi. Gdyby Danusia była wątła i słabowita, drogą poważnej choroby wywalczyłaby sobie odpowiedni tryb życia, dostateczną ilość snu i spokojne warunki pracy.

Danusia nie umie rozłożyć sobie zajęć szkolnych, wymaga pod tym względem kierunku ze strony starszych; nie tylko nie otrzymuje żadnych wskazówek z domu, lecz otoczenie paraliżuje jej dobre zamierzenia.

Dom w tym wypadku zamiast ułatwiać —utrudnia, a nawet uniemożliwia systematyczną pracą dziecka.

O ile matka nie ma czasu zająć się swym dzieckiem lub nie umie nim pokierować, powinna zapewnić mu opiekę zastępczą, któraby sprawowała odpowiedni dozór, a w żadnym razie nie wolno matce przez niezrozumienie lub lekkomyślność wciągać dziecko we własny bezładny tryb życia, co w skutkach swych odbija się fatalnie na zdrowiu i postępach.

JADWIGA KOPCIOWA.

Zajęcia praktyczne z zakresu kultury życia codziennego jako czynnik realnej współpracy szkoły z domem rodzinnym dziecka.

Nowe programy naukowe dla szkół powszechnych w nauce zajęć praktycznych uwzględniły zajęcia z zakresu kultury życia codziennego. Ponieważ szeroki ogół rodziców niejednokrotnie nie jest dokładnie poinformowany o treści mieszczącej się w tym terminie, postaram się dziś omówić je bliżej. W drugiej części natomiast podam cały szereg przykładów, które wykażą, że dziedzina ta nastręcza bardzo wiele stycznych dla współpracy szkoły i domu rodzinnego dziecka.

W zakres zajęć z zakresu kultury życia codziennego wchodzą m. in. następujące czynności: mycie rąk, twarzy, nóg, czyszczenie zębów, czesanie się, czyszczenie obuwia z błota, zbieranie papierów do kosza, ścieranie kurzu z przedmiotów. Czynności te dotyczą czystości ciała, ubrania, przedmiotów i otoczenia.

W zakresie zajęć porządkowych na stopniu niższym (klasy I i II) przewiduje program: sznurowanie i zapinanie bucików, wieszanie okrycia na właściwym miejscu, przestrzeganie racjonalnego porządku w ławce szkolnej i torebce na książki, utrzymywanie w porządku tablicy szkolnej i umywalni; posypywanie piaskiem lub żwirem ścieżek na podwórzu i w ogrodzie.

Do zajęć z zakresu kultury życia codziennego należą poza tym czynności odnoszące się do zachowania dziecka: na drodze, ulicy, w ogrodzie, parku, właściwe chodzenie pojedyńczo i w gromadce, korzystanie z urządzeń zabezpieczających porządek i czystość, łatwe ćwiczenia w orientacji i zaradności, w mie-

ście ponadto: właściwe przechodzenie przez jezdnię, wsiadanie do tramwaju lub autobusu i wysiadanie z tramwaju lub autobusu.

W klasach III, IV i V-ej poza utrwaleniem nawyków, nabytych w klasach I-ej i II-ej (muszą przecież przejść w nałogi), przewidują programy ponadto: nakrywanie do stołu i porządne krajanie chleba; najprostsze czynności w razie skaleczenia się, w szczególności właściwie obwijanie palca lub ręki — z zachowaniem odpowiedniej czystości; tamowanie krwi z nosa z dostosowaniem się do tego samego warunku; czyszczenie obuwia i ubrania; porządne układanie i wieszanie ubrania, wietrzenie sali, dokładne czyszczenie z pyłu podłogi i sprzętów, czyszczenie lampy kuchennej i pieca, czyszczenie szyb (o ile szkoła znajduje się na niskim parterze), metalowych klamek, okuć, łyżek, noży i widelców, mycie sprzętów drewnianych, malowanych olejno; czyszczenie odzieży na mokro, z wywabianiem plam (bez stosowania płynów, łatwo się zapalających), usuwanie pajęczyn, odkurzanie obrazów, szorowanie surowych sprzętów drewnianych, na wsi: skopków do dojenia krów, plecionych koszyków; zabezpieczanie na zimę drzwi i okien (o ile szkoła mieści się na parterze), przechowywanie i zabezpieczanie odzieży letniej i zimowej, planowanie i układanie przedmiotów na półkach i w szafie szkolnej.

W klasach wyższych zajęcia z zakresu kultury życia codziennego odbywają się przy nauce gospodarstwa domowego, na lekcjach higieny oraz przy okazji prac i zajęć praktycznych

Jak powyższy pobieżny przegląd najważniejszych tematów z zakresu kultury życia codziennego wskazuje, szkoła nasza idzie daleko w życie dziecka i jego warunki rodzinne, wychodzi mu nawet naprzeciw, stara się przygotować dziecko do wszelkich niespodzianek, jakie postawi przed nim życie. Prawie wszystkie te zajęcia są oczkiem w głowie matek, wszystkie matki ćwiczą w miarę wolnego czasu i umiejętności swe dzieci we wszystkich tych pracach. Jest jednak zasadnicza różnica między ćwiczeniami kulturalnymi w domu i w szkole.

Szkoła jako zakład naukowo - wychowawczy opiera wszelkie swe czynności na podstawach naukowych, dostosowanych do poziomu rozwoju psychicznego dziecka, stwarza odpowiednie warunki dla pobudzenia zainteresowań dziecka owymi pracami, dla wyzwolenia zeń ukrytych sił twórczych. Na skutek tego prace takie podejmują dzieci dobrowolnie, dzielą się nimi, wspomagają się wzajemnie przy ich wykonywaniu, przy czym rodzi się krytyka, ocena, dokonują się niezliczone korekty, przez co pośrednio dziecko uczy się myśleć realnie i logicznie.

Szkoła urządza liczne wycieczki, na których uczniowie obserwują co i gdzie jest do zrobienia w zakresie kultury życia codziennego, sami zaś przebywają w otoczeniu możliwie czystym, uporządkowanym i rozplanowanym, wskutek czego w życiu późniejszym nałogi te przenoszą w życie osobiste rodzinne i własnego środowiska społecznego.

Trzeba pamiętać również i o tym, że szkoła prace te prowadzi systematycznie, ciągle, planowo, stopniowo, praktycznie.

Warunków tych musimy przestrzegać koniecznie, skoro pragniemy by czynności z zakresu kultury życia codziennego weszły dziecku w krew, by uległy automatyzacji, przeszły w nałogi. Nałóg, jak wiadomo, powstaje przez ciągłe, systematycznie powtarzanie danej czynności w pewnych odstępach czasu aż do chwili zautomatyzowania.

Aby zajęcia te jaknajbardziej upraktycznić, szkoła podaje rękę rodzicom do współpracy. Inaczej bowiem układa się praca w środowisku miejskim, inaczej w wiejskim, a jeszcze inaczej w środowisku proletariackim. Inne warunki bytowania ma dziecko w domu, aniżeli w szkole, przy czym w domu przebywa ono

przez blisko 20 godzin na dobę. Aby więc praca taka mogła wydać odpowiednie plony, konieczna jest tu współpraca przy wytwarzaniu w dzieciach dobrych nałogów. Sądzę, iż praca ta zainteresuje szerokie koła rodzicielskie, jako że bezpośrednio i „od ręki" wspomaga walnie pracę matki względnie ojca w domu, że dziecko naprawdę znajduje upust swej aktywności w pracach nie budzących żadnych wątpliwości wychowawczych, a nawet ogromnie pożytecznych w życiu codziennym i towarzyskim.

Szkoła powszechna ma dziś inne aspiracje, aniżeli ta, do której myśmy uczęszczali. Pragnie ona umożliwić znośne warunki higieniczne środowisku społecznemu w którym pracuje. Cechuje ją ostre nastawienie na aktualne sprawy życiowe. Trzeba jej pracę umożliwić. Nie trzeba się wstydzić. Jeżeli klasa lub grupa dzieci przychodzi w formie wycieczki do zagrody, należy ją nie tylko wpuścić, ale umożliwić jej wykonanie czynności, zakreślonych jej programem. Nie chodzi o to, że dzieci uprzątną przypadkowo podwórze, że zwrócą uwagę na czystość gospodarstwa, że to i owo będą chciały w nim zreformować. Trzeba umieć widzieć w dzieciach, które wszyscy kochamy i życzymy im jak najlepszej przyszłości, trzeba właśnie w nich widzieć przyszłych, lepszych od nas gospodarzy. Staną się nimi w miarę przygotowania ich przez szkołę oraz naszą z nią współpracę.

Trzeba bowiem pamiętać, że dziecko zdrowe, czyste, normalnie odżywione, żyjące w otoczeniu nacechowanym ładem, systematycznością, porządkiem i choćby prymitywną estetyką, mimowoli poddaje się rytmowi harmonii jaka płynie z takiego życia, rytmowi zgody między słowem, t. j. teorią pracy szkolnej a czynem t. j. praktyką. Pod wpływem tej harmonii jedynie — jak pisze dr W. Hoszowska, dziecko może odczuwać czar i piękno i urok życia, może się czuć szczęśliwe i zadowolone, a zarazem dobre i pełne przyjaznych uczuć. Dziecko brudne, zaniedbane, pozostawione samo sobie, musi być złe, t. j. czuć krzywdę i poniżenie, zwłaszcza gdy widzi, że są na świecie grupy dzieci, o które dbają i które są kochane.

Dlaczego szkoła powszechna odwołuje się do współpracy rodziców? Czyni to w przeświadczeniu, że sprawy kultury życia codziennego są wszystkim wychowawcom równie drogie, a więc i rodzicom. Zdaje ona sobie sprawę, że sfery ludzi pracujących fizycznie mają również tendencje i aspiracje kulturalne, pozornie tylko zabite wskutek nędzy i nieodpowiednich warunków i do tych właśnie tendencyj apeluje i rozwija je. Dotychczasowa współpraca w tym przedmiocie wykazała, że ludzie żywiołowo pragną, by ich potomstwo miało od nich wyższy poziom kultury życia codziennego i żywiołowo do tego celu dążą.

Opieki klasowe i Rady Rodzicielskie mogą pomóc szkole i nauczycielstwu w staraniach o zdobycie choćby prymitywnych sprzętów do inwentarza szkolnego. Warsztaty pracy (stolarski, ślusarski, blacharski i t. p.) mogą niejednokrotnie zaofiarować odpadki drzewa, blachy, drutu itp., z których szkoła na lekcjach zajęć może porobić różne sprzęty do ćwiczeń z kultury życia codziennego (podstawki, puszki na mydło, wieszadła na ręczniki, koneweczki itp.).

Dr Wł. Hoszowska w swej pracy o kulturze życia codziennego podkreśla właśnie liczne przykłady z życia szkół w środowiskach włościańskich i robotniczych, w których właściwie postawiono stosunek do rodziców, a które mówią właśnie o gotowości przyjścia szkole z pomocą. Rolnicy, ogrodnicy ofiarowują bezpłatnie po kilka sztuk sadzonek do ogródka szkolnego, kupcy starają się sprzedać po cenie hurtowej kilka sztuk płótna na wyrób fartuchów, ręczników itp., każdy na swój dostępny mu sposób stara się przyczynić do tego, aby dziecko nauczyło się cenić chusteczkę do nosa, całe buty, połataną odzież, pozbawioną plam, by nauczyło się pić z czystego garnuszka, by umiało przybrać swe mieszkanie w

kwiaty i chociaż biednie, ale schludnie i czysto je utrzymać. Nie zapominajmy, że zamorusana twarz, potargana odzież i obuwie, zakurzony kapelusz czy zabłocone buty, nie koniecznie winny stanowić legitymację nędzarza. Najczęściej winna temu nie nędza, ale brak zaradności życiowej i opieszałość, które winniśmy zwalczać po trosze wszyscy, bo w przeciwieństwie do państw zachodu zamało interesujemy się szkołą jako ogniskiem oświaty i kultury szerokich mas.

Zygmunt Gryń.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

W odpowiedzi na art. „Radosność".

Czytając artykuł p. Małachowskiej w Nr. 2 *Rodziny i Dziecka*, miałem ochotę w pierwszej chwili zawołać zdumiony: „gdzie, gdzie u nas tak jest? Gdzież są te domy, gdzie „wpycha się" dzieciom pieniądze, zdobyte ciężkim trudem ojca czy matki, aby tylko nie wiedziały jak ciężko grosz ten został zdobyty? Ileż jest takich domów?".

Ogólna sytuacja materialna jest wszędzie tak ciężka, że chyba bardzo mało które dziecko ma na swoje wszystkie przyjemności, bo ileż nie ma na rzeczy konieczne? Gdzie miejsce na taką beztroskę i aż przesyt z wrażeń zewnętrznych, gdy tyle dzieci jest głodnych, bez butów, bez książek, gdzie większość rodzin żyje „z ołówkiem w ręku" i przy układaniu budżetu zgóry skreśla się jaknajwięcej wydatków na rzeczy „bez których można się obyć", a w czasie miesiąca ileż jeszcze z konieczności odrzuca się tych, które powinny być, ale.. niema na nie. Często dziecko bierze udział w owych mozolnych wyliczeniach „związywania końca z końcem", i — myślę, że chyba bardzo mało jest takich, którym jest obojętne, skąd rodzice biorą pieniądze, gdy widzi ich zmęczone, stroskane twarze. A ileż dzieci samych daje korepetycje, byle tylko zarobić na konieczne potrzeby?

Nie, stanowczo autorka zbyt pochopnie uogólnia niektóre spostrzeżone fakty. Może często wśród naszej młodzieży niema szczerej, prawdziwej „radosności", ale któż obliczy, ile z nich boryka się już z ciężkim życiem od samego zarania młodości, jak ciężko zdobywa dzień za dniem. Skąd ma brać radość, skąd ją z siebie wykrzesać? To chyba nie pustka wewnętrzna, jak mniema autorka, to może zbyt realna rzeczywistość, zbyt ciężka na ich młode barki; stąd smutek i zniechęcenie, przygnębienie nawet.

Chcemy, by młodzież była radosna, szczera, po młodemu — ale jakiż dajemy jej przykład? Jakże często zarażamy młodzież ponurym pesymizmem, gasimy jej radość narzekaniem, że niema widoków na lepszą przyszłość, że wszystko jest beznadziejne.

Dziś młodzież nie żyje mniej poważnie, niż my żyliśmy, będąc młodzieżą. „Cień spracowanego ojca" i na ich dzieciństwo cieniem się kładzie, (może jeszcze mocniejszy cień daje ojciec bezrobotny?), a na iluż rozciąga się ciemna smuga cienia zburzonej atmosfery ciepła i serdeczności rodzinnej lub wręcz rozbicia rodziny?

P. Małachowska narzeka i wątpi o szczerej przyjaźni obecnej młodzieży. Dziecko nasze często jest tak przyciśnięte ogromem naszych właściwie spraw, że może woli być naprawdę samo, bo nie chce odsłaniać komuś bolesnej prawdy o swoich warunkach, nie chce tak bardzo pokazywać swojego „domu", bo.. często wstydzi się za nas. Stąd może mniej „przyjaźni", tych „sztubackich" przyjaźni idylliczno-romantycznych. Dziś dziecko ostrożnie dobiera przyjaciół i może dlatego rzadziej ich znajduje.

Zgadzam się z autorką, że obecnemu obliczu młodzieży winien jest dom ro-

dzinny. I to nie „winien t e ż”... jak pisze p. Małachowska, ale p r z e d e w s z y s t k i m dom rodzinny. My, którzy borykamy się z ciężkimi warunkami, szukamy drogi do stabilizacji naszego „home” i naszego własnego kryterium życia współczesnego w najlepszej i najwartościowszej formie i treści. My szukamy, błądzimy, wracamy z powrotem, to znów idziemy naprzód, — burzymy i znów budujemy, a młodzież towarzyszy nam w tych wędrówkach do celu, tak samo przejęta ważnością chwili i sprawy, — czasem czyni to bezwiednie, ale sprawy nasze wywierają na nią swój wielki wpływ, który niezawsze jest dla niej pożyteczny w skutkach o, i nie zawsze lekki! Nie tylko nie usuwamy cierni z ich drogi, ale kładziemy je, często powiększamy ich ilość.

Jeszcze chodzi mi o zanikające „Iksinowy”, które autorka nazywa rozkoszną prowincją polską i ubolewa, że radio, kino i t. p. wpływają na upodobnianie się jednego miasta do drugiego.

Czegóż żałujemy w „Iksinowach”? Czy brudów w chłopskich chałupach, zamorusanych Jasiów i Maryś, rojów much i otwartych gnojówek? A czegóż mamy żałować w miasteczkach prowincjonalnych, gdzie jedyną atrakcją mieszkańców było obmawianie bliźnich i „wtrącanie się” do sąsiadów — a całość gnuśniała, jedząc obficie, w braku innych rozrywek? Niechże zanikają! Niestety, dzieje się to i tak bardzo powoli. Oby wszędzie dotarło i radio i kino, organizacje oświatowe, kulturalne, sportowe. Nie trzeba tam wcale konserwować ciszy i skupienia, bo i tak tam wszystko zbyt chętnie drzemie. Trzeba ruchu, czynu, akcji jakiejś! Przecież do tego dążymy w Polsce, żeby ukulturalnić wieś i prowincję podnieść w górę. I chwała Bogu praca postępuje naprzód.

Może dla kogoś zmęczonego tempem dużego miasta cichy, dawny „Iksinowów” gdzie nic się nie działo, mógł być odpoczynkiem i uspokojeniem nerwów, pod warunkiem, że gdy tylko uspokoją się owe nerwy, wracało się do czynnego, twórczego dnia pracy. Ale biedni mieszkańcy „Iksinowów” nie przyjeżdżali do niego dla wypoczynku, na pewien czas, ale stale tam żyli sennie, wpół drzemiąc, często nie zdając sobie sprawy, jak właściwie stoją w miejscu.

A spokój i ciszę znaleźć można na pięknych jeziorach Wileńszczyzny, na piasku morskim, czy w górach, — oczywiście nie w miasteczkach, ale na jakichś obozach, kursach, we dworach... To nie zanika, to dopiero powstaje, udoskonala się i udostępnia i jest bardziej celowe i doskonalsze pod każdym względem niż dawne „Iksinowy”. Napewno!

W uwagach moich zająłem się sprawami, które mnie specjalnie uderzyły w artykule jako zbyt uogólnione, bądź też według mnie niesłuszne zupełnie. Miałem wrażenie, że szanowna Autorka zbyt skwapliwie skrytykowała całą młodzież, a poruszając całe mnóstwo spraw w swoim artykule, uczyniła to niekiedy zbyt pesymistycznie. *L. Pławicki.*

Do artykułu dyskusyjnego „Radosność”.

Jest dla mnie jedno niejasne zdanie w art. p. t. „Radosność” w Nr. 2 „Rodziny i dziecka”:

„Ideowość? — wiemy, jak wygląda, gdy młodzież dopada wyższych uczelni”.

Czy my, słuchacze wyższych uczelni, jesteśmy rzeczywiście bez idei, że nie zawsze możemy „górnie” myśleć? Ależ my mamy buty podarte, nasze żołądki wygrywają żałosne trele, zaciska się pasek od spodni, by mniej głód dokuczał i ma się w perspektywie tyle, tyle dni pod znakiem zapytania, a w każdym bądź razie żyjemy z dnia na dzień.

To prawda, że nie jesteśmy jak dawna młodzież akademicka beztroska i wesoła, mimo dziur w ubraniu i głodu. My mamy często w twarzy wyraz smutku i przygnębienia, jakiś szary, beznadziejny wyraz. Bo dawniej biedny student wiedział, że studia są ciężkie, ale potem znajdzie się praca, posada, no i pła-

ca. Wesoło przyjmował biedę studencką, nawet było mu w niej niekiedy „do twarzy". Dziś inaczej. Wszyscy mówią, piszą o nas, chcą nam pomóc, ale... nas jest teraz więcej, niż dawniej, nam pomóc zbyt ciężko społeczeństwu, bo prawie wszyscy cierpimy braki. Ale nie to jest najgorsze.

Jest jedna gorsza rzecz i to ona odziera nas z młodzieńczej beztroski, przygasza nasz wzrok i pochyla młode głowy. My o przyszłości wiemy, że to wszystko niepewne, że być może nasza nędza i wegetacja nie skończy się wcale wraz z uzyskaniem dyplomu, a przybierze tylko inną formę.

I to właśnie wy, starsze pokolenie, wpajacie w nas to przekonanie o bezcelowości naszej nauki, wy mówicie nam, że i tak przecież posad nie znajdziemy, co najwyżej „posadziny", wy gasicie nasz zapał i wyzwalacie pesymizm. Ciąży nad nami bolesna możliwość, że skończywszy studia, pomnożymy kadry bezrobotnych, że może to my będziemy nadprogramowi ludzie, wykolejeńcy życiowi.

Bo największa krzywda, jaką można zrobić młodemu człowiekowi, gdy staje, by podjąć nowy trud, zaczyna studia wybrane, to powiedzieć mu zgóry, że nic z tego nie będzie, to jest b e z n a d z i e j n e, jako przyszły modus vivendi. Wtedy skrzydła opadają. I stąd potem szare twarze i zgaszone oczy, brak wesołości młodzieńczej.

Ideowość? Nie trzeba zapominać, że najbardziej zapaleni ideowcy poprzedniego pokolenia nie byli wcale z pośród tych, których jeszcze przed końcem studiów oczekują stanowiska, przygotowane przez ojca dyrektora, lekarza, adwokata, ale wśród biedoty czwartaków i suteren właśnie. Tam biły najgorętsze serca, paliły się najśmielsze ognie zapału i wykwitały czyny. Dziś często ideowości nie widać, (z małymi wyjątkami, nad którymi dyskusja wykraczałaby daleko poza łamy „Rodziny i dziecka"), bo przykryta jest przez codzienny kołowrót zajęć i starań i zabiegów, aby jakoś przeżyć dzień i gdzieś przespać noc. A jeśli to wszystko, doprawdy, jak mówicie n a p r ó ż n o, nie każdy może wydobyć z siebie inne, szersze, szczytniejsze hasła i czyny, jeśli mu kiszki grają z głodu, a jedynym kawałkiem chleba trzeba się podzielić z kolegą, który niema i tego. Wtedy idee... roztapiają się w marzeniach o obiedzie raz naprawdę do syta. O jutro nie warto się przecież troszczyć, bo społeczeńswo mówi, że z naszych wysiłków nic nie będzie, że... nadprodukcja inteligentów...

Student.

Jeszcze w sprawie filmów.

Obcując dużo z młodzieżą, rzuca nam się w oczy wiele niekonsenkwencyj, związanych z wychowaniem naszych dzieci. Chciałabym poruszyć tutaj sprawę filmów niedozwolonych dla młodzieży szkolnej. W jednym z pierwszorzędnych kin Warszawy, przy ul. Marszałkowskiej, wyświetlają film, na który młodzież szkolna nie jest wpuszczana. Nad okienkiem jednak wisi napis: dozwolony dla osób od lat 18. Czekając w poczekalni 15 minut, byłam świadkiem prowadzonych przy kasie dialogów i takich np. faktów. Wchodzi starszy pan z wyższym znacznie od siebie synem, w czapce uczniowskiej, z tarczą licealną. „Dla młodzieży szkolnej niedozwolony". „Ależ, syn mój ma więcej niż 18 lat". Znów powtórzony argument kasjerki. Obaj panowie wychodzą z grymasem politowania na twarzy. Za nimi bowiem stał smarkacz, najwyżej 15-letni, który jedynie dlatego, że miał „narciarkę" na głowie i nie miał tarczy na rękawie — bilet otrzymał. Dziewczęta, po odejściu od kasy, odpinają znaczki od beretów, odpruwają tarcze i wówczas dopiero otrzymują wstęp. Obserwując te fakty, nasuwa się pytanie: dlaczego uczymy nasze dzieci kłamstwa i oszukaństwa? Są dwie alternatywy: albo kupić starszemu chłopcu cyklistówkę, co jest w pewnym stopniu nieposzanowaniem rozkazów władz szkolnych, albo prawić morały i czekać, aż on i nas, rodziców, zacznie oszukiwać. Czyż nie lepiej, aby młodzież star-

sza mogła chodzić z rodzicami na mniej nawet „moralne" filmy, lub też o ile przychodzą sami, to klasy 7 i 8, po sprawdzeniu matrykuł powinny mieć wstęp wolny, o ile jest film dozwolony od lat 18. Czyż w tym, co jest odpowiednie dla dziecka, niema nic do powiedzenia dom? O ile matka uzna, że syn jej lub córka ma tyle zalet moralnych, że mniej lub więcej banalny film nie spaczy im poglądów, czy musi dopuścić do maskarady i dopiero wtedy iść z nimi do kina? Tym bardziej, że najwięcej warte filmy, np. ostatnio wyświetlany w „Capitolu" Ich troje" — zabronione są dla starszej młodzieży. Cóż im pozostaje? Cała masa bzdur, bzdurek i grotesek, z których można się tylko uśmiać, nie można jednak wynieść żadnego głębszego wewnętrznego zadowolenia. Czas byłoby się zastanowić, aby nauczyć młodzież naszą szanować rozporządzenia, uczyć ich szczerości i nie kazać kłamać. *Janina Lewińska.*

Zamieszczając nadesłany nam powyższy list, Redakcja nie może jednak oprzeć się pewnym wątpliwościom, czy szeroki ogół rodziców w naszym społeczeństwie jest już dostatecznie zorientowany, aby być czynnikiem decydującym w tej sprawie.

GŁOSY RODZICÓW

Spowiedź czy zaufanie?

Hasło współpracy domu ze szkołą w dziedzinie wychowania młodzieży zyskało już sobie prawo obywatelstwa w społeczeństwie. Jeżeli nawet w tym kierunku dotychczas nie zrobiono jeszcze zbyt wiele, to w każdym razie wszyscy rodzice, przynajmniej z inteligencji, już o nim słyszeli i uznali jego słuszność.

Zupełnie zrozumiałe, że inicjatywa tej współpracy wychodzi ze szkoły, gdyż szkoła jest organizmem bardziej zwartym i skoordynowanym. Szkoła dzisiejsza wzięła na siebie trud nie tylko wykształcenia, ale także i wychowania dziecka na dobrego obywatela, czyli porządnego człowieka. W praktyce okazało się, że to drugie zadanie jest znacznie trudniejsze niż nauka wiedzy, zawartej w programie przedmiotów szkolnych. Dlatego szkoła apeluje do rodziców, aby jej tę pracę umożliwili przez bliższy kontakt i współdziałanie. Z drugiej strony ogół rodziców został do pewnego stopnia zaniepokojony nowymi zamierzeniami szkoły w dziedzinie, w której dotychczas oprócz rodziców nikt nie występował.

Rzecz jasna, że w obliczu t.zw. „trudnych charakterów" wzajemne ustalenie linii postępowania z dzieckiem jest niesłychanie ważne. Dom i szkoła działają wspólnie. Jest jednolitość wskazówek, te same zakazy, podobne reagowanie.

Na pozór sprawa jest zupełnie jasna i słuszna. W rzeczywistości wygląda nieco inaczej. Wychowanie indywidualne, stosowane w środowisku masy, jest niesłychanie trudne. Tej roli sprostać mogą zaledwie nieliczni wyjątkowo zdolni wychowawcy.

Zastanówny się naprzykład, w jaki sposób szkoła może istotnie poznać warunki domowe uczniów? Czy na podstawie wywiadów osobistych? Relacji samego dziecka? A może dziecko w momencie „szczerości i zaufania" do nauczyciela znajduje się właśnie w fazie wielkiego rozgoryczenia na dom i rodziców i nie potrafi obiektywnie tych warunków określić, zaś nauczyciel zbyt krótko przebywa z dzieckiem i za mało je zna, aby móc się w tym zorientować. Opieranie się zaś szkoły na opinii kolegów ucznia, o którym mowa, jest i niemiłe i niekiedy może być przeprowadzane w sposób nie licujący z powagą szkoły. Bywały takie wypadki.

Szkoła — dla dobra dziecka — pragnie zyskać zupełne zaufanie rodziców. Chce, aby rodzice, którzy swe dzieci kochają, nie mieli tajemnic, dotyczących dziecka, wobec wychowawcy.

I tu znów wydaje się, że idziemy za daleko. Pomimo wszystko szkoła trwa tylko przez stosunkowo krótki okres czasu. Zmieniają się wychowawcy i z powodu przeróżnych warunków rodzinnych czy osobistych dziecko może zmienić szkołę. Natomiast bywają sprawy takie, które dom — rodzice — najlepiej przeprowadzą sami. Niektóre rzeczy może trzeba pozostawić czasowi, może dziecko samo musi uporać się z nimi tylko przy serdecznej pomocy ojca czy matki. Poco wtajemniczać w nie kogoś trzeciego, kto może nie zawsze ma czas, żeby danemu zagadnieniu poświęcić konieczną ilość uwagi. Pomimo wszystko rozszerzanie np. złej opinii o dziecku — może chwilowej — nawet przed najżyczliwszym dla dziecka sędzią, jakim jest szkoła, nie zawsze jest wskazane. Chyba gdyby nieujawnienie tej opinii groziło dobru powszechnemu klasy czy szkoły.

Zastrzegam się wyraźnie przeciwko głosom, które chciałyby mi inkryminować, że pochwalam ukrywanie wad lub przewin dziecka przed szkołą. Występuję tylko w obronie prywatnego życia rodziny i dziecka w sytuacjach naprawdę poważnych.

Wydawałoby się, że jest to zagadnienie tak oczywiste, że nie warto go dowodzić. A jednak tak nie jest. Kwestia przymusu zaufania do szkoły przybiera niekiedy formę prawie obowiązku spowiedzi. Chcę tutaj mówić o t.zw. zaświadczeniach domu, dlaczego uczeń nie był w szkole dzień, kilka dni czy tylko kilka godzin.

Zupełnie słuszne, że zaświadczeń szkoła musi wymagać, gdyż młodzież w szkołach średnich nie jest jeszcze dość odpowiedzialna za siebie. Kontrola zarówno domu jak szkoły musi być nadal nad nimi roztoczona. Szkoła jednak odrzuca zaświadczenia n i e p r z e k o n y w u j ą c e, jakkolwiek podpisane imieniem i nazwiskiem przez ojca czy matkę. Jeżeli dziecko opuściło lekcje, szkoła chce dokładnie wiedzieć — dlaczego.

A więc nie przyjmuje do wiadomości, jeśli dziecko nie było w szkole „dla względów rodzinnych". Chce, żeby te „względy" były wyraźnie określone.

A jeżeli syn nie mógł przyjść do szkoły, gdyż ojciec wieczorem poprzedniego dnia upił się i awanturował w domu do późnej nocy, a matka nie pozwoliła zmęczonemu i niewyspanemu dziecku iść na drugi dzień do szkoły? Jeżeli dziecko musiało zastąpić rodziców — bo z polityki rodzinnej tak wynikło — i pojechało w godzinach szkolnych do dalekiej ciotki z prośbą o żyro na wekslu ojca? A jeśli, mieszkając na prowincji, nie dostało wcześniej od rodziców pieniędzy i dopiero ostatniego dnia w miesiącu, kiedy ojciec już pensję otrzymał, mogło załatwić kupno miesięcznego biletu kolejowego? Jeśli dziecko nie przygotowało lekcji, gdyż w domu przez całe popołudnie trwała na olbrzymią skalę awantura rodzinna?

Dla dobra sprawy współpracy domu i szkoły musimy się domagać wzajemnego zaufania. Jeżeli szkoła kilkakrotnie przekona się, że dany dom wystawia fikcyjne zaświadczenia i pomaga uczniowi w oszukiwaniu nauczycieli, niech zwróci się z odpowiednim wezwaniem do owych rodziców. Niedopuszczalne jednak jest to, co się dzieje w niektórych szkołach stolicy: wychowawca na godzinie wychowawczej porusza te sprawy z uczniami i nietaktownie wywołuje protest całej klasy. W ten sposób wzajemne zaufanie domu i szkoły zostaje poważnie poderwane.

„P. M."

UPRZEJMIE PROSIMY SZANOWNE KOŁA RODZICIELSKIE I PATRONATY O ŁASKAWE NADSYŁANIE NAM KRÓTKICH SPRAWOZDAŃ Z ZEBRAŃ DYSKUSYJNYCH NAD ZAGADNIENIAMI WYCHOWAWCZYMI, PORUSZANYMI NA ŁAMACH „RODZINY I DZIECKA".

R E D A K C J A.

ZNÓW SIĘ BIJĄ.

Kto lubi obserwować życie, przypatrywał się z pewnością zabawom małych kotków. Ciekawe są i harce źrebiąt na pastwisku, czy małych niedźwiedziąt w ogrodzie zoologicznym.

Ile tam ciekawych pozycyj, jaka gra spojrzeń, ruchów...

Malcy ci bawią się i biją, biją i naprzemian bawią.

Gorzej jest z owym biciem się wśród dorosłych zwierząt, czy ludzi.

Mówimy wtedy o walce o byt, o bitwach, wojnach.

Młodzi biją się przy zabawie. Starsi biją się już bez zabawy. Wszyscy na walkę czekają, wszyscy się do niej przygotowują.

A nasi chłopcy szkolni?

Kto nie zna ich natury, a obserwuje ich na łące, wycieczce, czy na boisku szkolnym, gniewa się na nauczyciela i mówi: „Ci chłopcy znowu się biją, tylko się biją, zawsze się biją"...

Tak! Oni są, jak te kotki małe. Najpierw bawią się np. kto mocniejszy, kto szybszy, kto zręczniejszy. Śmieją się, bawią, wyładowują energię. Aż przyjdzie moment, kiedy im się znudzi ta walka prowadzona pół-żartem, pół-serio, idą wtedy „na całego", zapalają się, zapominają i walka z guzami i łzami gotowa.

Wrogowie „boczą się" na siebie — na minutkę — znowu zaczynają bawić się i znów się biją.

Nauczyciel czuwa tylko nad tym, by chłopcy nie rozbijali się systematycznie. Każe więc im energię wyładować w inny sposób. Daje im np. sznur i każe udowodnić — kto mocniejszy, urządza wyścigi dla popisów — kto szybszy.

Najbardziej razi, gdy chłopcy urządzają swe harce podczas przerw lekcyjnych i podczas opuszczania szkoły.

Jest ich dużo, więc i wiele „walczących". Proszę najpierw pamiętać o tym, ile energii nie wyładowało dziecko, ile jej się nagromadziło w szkole? Nie było okazji do jej wyładowania, a ona aż prosi o to. Powtarzamy zatem: więcej zabaw dla dzieci, więcej ruchu, będzie mniej ordynarnego bicia się.

Nie każda walka chłopców jest biciem się. Dużo w tym jest zabawy. Teraz nie więcej bawią się biciem, ile bawiono — bito się dawniej, ile znów będą się bawić — bić w przyszłości.

Szkoła i rodzice winni tylko dbać o to, by dzieci nie zeszły na fałszywe tory, by nie pobudzać do bójek, ale je umiejętnie od nich odwodzić, dając dzieciom wzamian godziwą rozrywkę, pracę, kształcąc w nich i rozwijając obok ambicji, zręczności i siły, także poczucie honoru, przyzwoitości, rycerskości.

Jan Szelejewski.

WIOSENNY EGZAMIN.

Jacek ma zdawać egzamin wstępny do pierwszej klasy gimnazjum nowego typu. Jest wiosna ciepła i jasna i Jacek całe dnie spędza na łące, grając w piłkę nożną z innymi chłopcami. On jest najmniejszy z nich wszystkich, ale piłka go i tak słucha. Leci wysłana uderzeniem jego buta celnie i pewnie, zakreśla łuk i przeciwna partia musi bacznie ją śledzić i energicznie odpierać.

Jacek porywistym ruchem głowy odpędza spadające mu na czoło włosy i szeroko pochylony naprzód przygotowuje się do nowego ataku na wracającą piłkę. — Dobra! — mówią chłopcy i patrzą z uznaniem na tego małego chłopczyka.

Wieczorem, gdy łąka zalewa się mrokiem, w którym piłka zatraca swoje kuliste kontury, chłopcy przestają grać i zbierają się pod ścianami dużych kamienic. Mówi się wówczas o zbliżającym się końcu roku szkolnego o świadectwach i egzaminach. — Phi, Jacek zupełnie nie boi się tego egzaminu wstępnego, nic a nic się nie boi. Przecież jego tatuś zna wszystkich belfrów. Jeszcze jak ich zna... liczą się z nim. Jemu nawet pozwolą zdawać egzamin kiedy on będzie chciał, nawet na raty. —

Własne słowa urastają mu w ustach do niebywałych przechwałek. On sam słucha ich ze smakiem. To już nie ten najmniejszy Jacek mówi, ale jakiś duży chłopiec, nawet taki jak Jerzy. — Dobra! — mówią chłopcy i — cześć! — bo już czas najwyższy, żeby wracać do domów.

Ale Jacek nie zdał egzaminu wstępnego do pierwszej klasy. Wiosna niepostrzeżenie przeszła w upalne lato i chłopcy teraz całe dnie spędzają na grze w piłkę. Łąka rozbrzmiewa krzykliwymi głosami, od których powietrze wydaje się jeszcze bardziej gorące. Wkrótce przycichnie tu trochę, bo duża część dzieci wyjedzie na letnisko. Jacek także wkrótce wyjedzie. — Boże! jak chce wyjechać!

Przemyka się chyłkiem pod spojrzeniami znajomych, jego dziecinne niebieskie oczy mrużą się zdziwione i spłoszone... Pierwszy w życiu nie zdany wiosenny egzamin.

Wydaje się teraz, że jest mniejszy i stoi na boisku jak kłos zmyty deszczem, ciemna, drobna, pochylona figurka. Stoi i bacznie śledzi za piłką. Piłka mija go ze świstem i rozmach małego buta już jej nie dosięga.

Chłopcy wiedzą, że trudno, tak teraz być musi i mówią: Dobra! — Głaszczą przytem Jacka łapami po głowie, chociaż on tego nie lubi.

Wiktoria Hesslówna.

SPRAWOZDANIE Z ZEBRANIA DYSKUSYJNEGO.

W dn. 25 lutego r. b. odbyło się bardzo liczne zebranie rodziców, urządzone staraniem Koła Przyjaciół miesięcznika „Rodzina i dziecko" w gimnazjum im. Zamoyskiego w Warszawie. Referat wygłosił dyr. Stefan Pogorzelski na temat: „Sprawa opieki nad młodzieżą szkolną poza szkołą" *).

Po referacie wywiązała się ożywiona dyskusja, której najciekawsze momenty streszczamy.

Na ogół stwierdzono, że w Polsce stosunek do dziecka pozostawia wiele do życzenia. Wobec własnych dzieci dorośli są często zbyt pobłażliwi i zaślepieni, do cudzych dzieci zaś odnoszą się z nadmiernym krytycyzmem, a nierzadko z niechęcią.

A jednak te rzeczy muszą się zmienić. Starsze społeczeństwo musi zrewidować swój stosunek do dzieci w ogóle. W dyskusji wysunięto postulat, że zarówno w szkole jak i poza szkołą (w miejscach publicznych) dla rozumnego dorosłego obywatela dziecko każde — powinno być „nasze". Czas skończyć z zainteresowaniem się tylko najciaśniejszym kręgiem domu i rodziny najbliższej.

Zebrani kilkakrotnie podnosili fakt obcości dziecka nawet we własnym domu. Jeden z mówców dowodził, że obecne pokolenie rodziców znacznie mniej czasu poświęca swoim dzieciom, niż kiedyś im samym poświęcali ich właśni rodzice. W niejednym domu rozmowa rodziców z dzieckiem ogranicza się przez cały dzień — tydzień — miesiąc — do takich ram:

— Co tam w szkole? — pytają rodzice.

— Nic — odpowiada dziecko.

— Nie odpowiadałeś? Klasówki dziś nie było?

— Nie. Nic nowego.

I na tym rozmowa się kończy. Gdy przychodzą świadectwa okresowe, okazuje się, że jednak dziecko ma stopnie ze wszystkich przedmiotów, a na wywiadówce wychowawca komunikuje rodzicom, że klasa dziecka specjalnie zaznaczyła się w jakimś dobrym czy złym kierunku.

Jednak nie dowiedzieli się tego od dziecka. Nic nie wiedzą, jak ich dziecko czuje się psychicznie pośród swoich kolegów, kto ma na nie wpływ, jakie są jego zainteresowania i dążenia.

---

*) Patrz str. 68 niniejszego numeru.

Szkoła niejednokrotnie podkreśla przy okazji zebrań rodzicielskich, że ojcowie stosunkowo mniej niż matki interesują się rozwojem umysłowym i moralnym swoich dzieci. Kwestia współżycia domu i szkoły wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia. Rodzice stworzyli kiedyś materialne podstawy szkoły polskiej, ale nie wytworzyli swej opinii w stosunku do szkoły. To się teraz mści. Mówcy zaznaczali, że w dzisiejszej szkole dzięki brakowi zwartego frontu opinii rodzicielskiej rodzice zbyt mało mają w kwestiach szkolnych do powiedzenia. Koła patronackie są „tylko od zbierania składek", a ze zdaniem rodziców szkoła zbyt mało się liczy.

Zebrani — zarówno jak prelegent — szukali przyczyn grzechów i niedociągnięć młodzieży w jej życiu pozaszkolnym. Ktoś z mówców w dzisiejszym braku subordynacji i rozwichrzeniu młodzieży szkolnej widzi taką przyczynę: „Niepodległość kraju musiała znaleść odpowiednik w zachowaniu się młodzieży. Wybujało w niej nadmierne poczucie samowiedzy obywatelskiej. Teraz rzeczą wychowawców i całego społeczeństwa jest umiejętne urabianie dumy narodowej w młodzieży i skłanianie jej do samoobrony przed chamstwem i degeneracją moralną i fizyczną".

Ktoś inny zarzucił, że „szkoła kształci mózgi a nie charaktery".

Dyskusja przybrała ton wysoki i tu ciekawe było przemówienie jednej z matek, która dowcipnie i z przekonaniem wystąpiła przeciwko „wysokiemu poziomowi". Zdaniem jej w życiu społeczeństwa trzeba przede wszystkim zwykłych porządnych ludzi, dalekich od megalomanii narodowej czy osobistej. Przemówienie to było gorąco oklaskiwane, gdyż mówczyni ujęła sprawy poprostu i bardzo życiowo. Jeden z poprzednich mówców chciał widzieć lekarstwo na wszystkie wady naszej młodzieży w doskonale zorganizowanej i ujednostajnionej dla wszystkich szkół pracy patronatów. Mówca ten wiele spodziewał się również od działalności samorządów szkolnych. Pani X jasno i otwarcie oznajmiła, że w życiu najdoskonalszy regulamin i najwznioślejsze cele nic nie pomogą, jeżeli nie będzie do pracy odpowiednich ludzi. Samorząd szkolny nie da sobie rady z kilkoma niesfornymi osobnikami wśród kolegów, a często 2 złych chłopców potrafi zepsuć 98 dobrych.

Ktoś z mówców bardzo pięknie przemówił, iż na podniesienie poziomu moralnego naszej młodzieży ma wpływ przede wszystkim dom i rodzina. Jeśli — jak to dziś często się zdarza — harmonia rodzinna jest zachwiana, raczej należy rodzinę rozbić i dziecko przenieść w zdrowsze i moralne warunki. Przede wszystkim zaś dążyć trzeba do tego, aby każde dziecko „w głośnej Warszawie miało swój cichy dom, w którym można spocząć po zgiełku ulicy. Dom ten będzie otwarty dla dziecka nawet wtedy, gdy kiedyś w życiu pobłądzi. Nawet wtedy śmiało doń wróci z całym zaufaniem i znajdzie w nim warunki do odrodzenia moralnego".

Interesujące było przemówienie przedstawiciela Tow. Opieki nad Moralnością Młodzieży na temat współpracy rodziców w walce z pornografią filmów, które młodzież ogląda.

Po przemówieniach mówców głos zabrał dyr. Pogorzelski. Ponieważ zebrani zgodnie oświadczyli się za tezami odczytu, prelegent nie polemizował z nikim, natomiast zwrócił uwagę na jeszcze jeden ciekawy rys charakterystyki naszej młodzieży.

Oto w szkole dzisiejszej jedną z większych trudności, jakie napotykają w swej pracy wychowawcy, patronaty i samorządy szkolne, jest brak spójni duchowej wśród młodzieży. Jeżeli solidarność występuje, to raczej w formie niemoralnej walki z zarządzeniami szkoły. Paradoksalnym wydaje się wobec tego fakt wielkiej spójni duchowej uczniów w czasach przedwojennych, kiedy w atmosferze spisku kształcili się w przedmiotach szkolnych zakazanych przez rządy zaborcze. Wówczas młodzież stanowiła zwarty zespół.

Troską najwyższą i jednym z najważniejszych i najbliższych celów szkoły powinno więc być wyrobienie solidarności wśród naszej młodzieży w kierunku jednolitej opinii w obserwowaniu lojalnego i uczciwego stosunku do wymagań naszej własnej, polskiej szkoły.

H. K.

SPRAWOZDANIA.

Z ZAGRANICZNEJ PRASY RODZICIELSKIEJ.

„Home and school“.

Trochę reklamy dla stowarzyszeń rodzicielskich.

Oto jak jedna ze szkół angielskich stara się zachęcić rodziców do współpracy:

„...Ileż to pytań zadajemy sobie i nie umiemy znaleźć na nie odpowiedzi: „Co robić, żeby dziecko mnie słuchało?“ „Co robić, żeby nie było nieśmiałe, bojaźliwe?“ „Jak zachować swój autorytet wobec dzieci starszych?“

„Te pytania nieraz napewno są tematem rozmów u Państwa w rodzinie. Czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy je omówili wspólnie? Może Państwo zechcą się do nas przyłączyć?“

Zawiadomienia o zebraniach.

Zawiadomienia o zebraniach rozsyła się przez dzieci. Na odcinku, przeznaczonym na pokwitowanie z odbioru, rodzice proszeni są o stwierdzenie, czy na zebranie przybędą. W dniu zebrania dzieci zanoszą do domu karteczkę: „Przypominamy o dzisiejszym zebraniu“.

Skrzynka rodzicielska.

W niektórych szkołach na widocznym miejscu umieszczona jest skrzynka, przeznaczona na korespondencję rodziców z organizacją rodzicielską. Rodzice zgłaszają tu uwagi i zapytania w sprawach organizacyjnych, zarówno jak i w kwestiach wychowawczych.

Ojcowie w klubach szkolnych.

Jedna ze szkół angielskich wprowadziła w klubie szkolnym naukę gry w szachy dla chłopców od lat 11-tu. Ojcowie zainteresowali się postępami w grze, przychodzili grywać z chłopcami, co przyczyniło się do zbliżenia się wielu ojców z kolegami synów, do urządzania turniejów, konkursów, wspólnych zebrań w domach prywatnych i t. p.

W innych szkołach okazję do zbliżenia się z ojcami młodzieży dawało organizowanie orkiestr szkolnych.

Dla wielu ojców okazja do zbliżenia się z kolegami synów stała się źródłem wielkiej radości.

Opinie angielskich sfer pedagogicznych o egzaminach.

Zdaniem dyrektora jednej ze szkół „postępowych“, szkodliwe działanie egzaminów jest wynikiem złej organizacji nauczania. W szkole dobrze zorganizowanej lęk przed egzaminami nie mąci radości młodzieży, egzaminy nie są ani bodźcem dla ambicji, ani straszakiem.

Jest on zdania, że egzaminy w obecnej swej postaci dają bardzo powierzchowny obraz rozwoju umysłowego ucznia. Gdyby jednak zostały zorganizowane na zasadach psychologicznych, mogłyby stać się prawdziwym testem nie tylko umiejętności, ale i ogólnego rozwoju jednostki, testem wychowawczym.

W Ameryce niektóre uniwersytety, po konferencji ze szkołami, uchwaliły zwolnić od egzaminów uczniów 30-tu postępowych szkół, które zgodziły się w ostatnich 2-ch latach nauczania wprowadzić pewne zmiany w programie, zmierzające do wdrożenia uczniów do pracy samodzielnej. Uczniowie Dalton High School w Nowym Yorku (prowadzonej według tak zwanego „planu daltońskiego“), zostali zwolnieni od egzaminu wstępnego już w obecnym stanie nauczania, ponieważ absolwenci tej szkoły wyróżniają się w studiach uniwersyteckich wybitną i solidną pracą.

A oto, co na zebraniu rodziców i nauczycieli oświadczył dyrektor pewnej wielkiej firmy londyńskiej:

„Kiedy przed paroma laty postanowiliśmy przyjmować do pracy studentów, którzy chlubnie ukończyli studia uniwersyteckie, wiele się po nich spodziewałem. Przekona-

łem się jednak, że brak im inicjatywy, energii i przedsiębiorczości, niezbędnych w pracy handlowej. Rodziców i nauczycieli chciałbym ostrzec: „nie forsujcie młodzieży". Każdy hodowca koni stosuje się do tej zasady. A tymczasem, rodzice i nauczyciele każą dziecku zdolnemu pracować bez wytchnienia, pchają je, by zdobywało dyplom za dyplomem, stypendium za stypendium. Aż wreszcie młodzieniec, który ukończył studia, jest wyczerpany, niezdolny do wszelkiej inicjatywy. Gdyby mnie zapytano, co jest niezbędne dla kandydata do pracy u nas, i co moim zdaniem szkoła może i powinna dać swoim uczniom, powiedziałbym: po pierwsze — całkowite panowanie nad sobą, po drugie — zdolność do jasnego myślenia, po trzecie — umiejętność zwięzłego i wytwornego wyrażania się w mowie i w piśmie".

Organizowanie odczytów dla młodzieży z dziedziny rozwoju psychiki dziecka.

Miss Mary Macauley jest inicjatorką odczytów, które angielska Rada Współpracy Domu i Szkoły organizuje w szkołach, zarówno męskich jak i żeńskich, a dotyczących rozwoju dziecka od niemowlęctwa aż do wieku młodzieńczego.

Odczyty te wzbudzają wielkie zaintesowanie młodzieży. Są one organizowane bądź w poszczególnych klasach (dla młodzieży od lat 12-tu), bądź zbiorowo dla całej szkoły. Dzieci mogą stawiać pytania na piśmie, bezimiennie. Odpowiedzi na pytania są dawane po odczycie. Ciekawe są pytania o wychowaniu małych dzieci. „Czy dzieci, często chwalone, nie stają się zarozumiałe?" „Czy należy opowiadać dzieciom bajki o złych wielkoludach i czarownicach?" i t. d. Są i pytania, dotyczące stosunku do rodziców. Odpowiedzi na nie wymagają wielkiego taktu ze strony prelegenta.

Pytania dzieci są tak rzeczowe i poważne, że wzbudzają podziw rodziców i nauczycieli i dają okazję do wyjaśnienia dzieciom wielu zagadnień z dziedziny psychologii ich własnego rozwoju, zarówno jak i ich rodzeństwa, ułatwiając im poznanie siebie i współżycie z innymi.

Jak sobie dzieci wyobrażają idealnych rodziców?

Jedna z wychowawczyń podaje notatki z wypowiedzi na ten temat dzieci od lat 8 do 12 z różnych środowisk, od bardzo zamożnych do najuboższych.

Oto w porządku kolejnym zalety, najbardziej cenione przez dzieci:

1. Nie kłócą się między sobą i nie mówią sobie „przykrych rzeczy".
2. Nie wpadają w złość na nas i nie zrzędzą.
3. Wiedzą dużo i odpowiadają na nasze pytania.
4. Mają czas bawić się z nami.
5. Umieją pływać, lubią chodzić na wycieczki, umieją majstrować różne rzeczy.
6. Nie troszczą się o nas zanadto, ale są zadowoleni, kiedy wracamy do domu.
7. Pozwalają nam zapraszać do siebie kolegów, nawet jeżeli nie ma czym ich poczęstować.
8. Sprawiają nam takie rzeczy i ubrania, jakie mają inni koledzy.
9. Nie zapominają przyjść do nas, żeby nam powiedzieć „dobranoc".

Okazuje się, że zalety usposobienia i charakteru zajmują pierwsze miejsce w tej liście i że kwestie materialne mają dla dzieci znaczenie trzeciorzędne.

TRUDNOŚCI W NAUCE I ZACHOWANIU DZIECI NORMALNYCH.

Na kongresie w Cheltenham wygłosił młody psycholog wiedeński, Dr Redl, kurs o „trudnościach w nauce i zachowaniu dzieci normalnych". Kurs ten wzbudził wielkie zainteresowanie, prelegent bowiem, dzięki swojej praktyce poradniczej i wychowawczej, miał istotnie okazję do nagromadzenia wielu ciekawych obserwacyj, a trzeba dodać, że dr Redl jest nie tylko twórcą i kierownikiem poradni psychologicznych dla dzieci szkolnych, którym poświęcał cały swój wolny czas, ale i nauczycielem ogromnie kocha-

nym przez dzieci. Kurs składał się z pięciu wykładów, omawiających zagadnienia, z jakimi najczęściej styka się nauczyciel i psycholog na terenie szkoły.

Dr Redl, mówiąc o trudnościach w nauce szkolnej, stwierdza, że często bywają one spowodowane sytuacjami w życiu pozaszkolnym dziecka. Zaznacza jednak, że czasem właśnie powodzenie szkolne bywa konsekwencją załamań psychologicznych (np. chorobliwie podrażnionej ambicji).

Jeżeli odrzucimy trudności „naturalne" spowodowane lukami w przyswojeniu sobie materiału nauczania, a na które jedynym lekarstwem jest douczanie dziecka, to przede wszystkim rozważyć należy wypadek, kiedy „tępota", o jaką nauczyciel pomawia dziecko, spowodowana jest poprostu lękiem, nieśmiałością. Takiemu dziecku trzeba tylko dodać wiary we własne siły i odrazu okaże się inteligentne.

I na odwrót, bywa że dziecko staje się nagle niesforne, uparte, a okazuje się, że źródłem jego złego zachowania się jest zniechęcenie do pracy szkolnej. Takie dziecko trzeba do pracy na nowo zachęcić, a jak dr Redl stwierdza, dzisiejszy system zachęca do pracy te właśnie dzieci, którym i tak już dobrze się w szkole powodzi, zamiast podtrzymać otuchę w tych, które się zaczynają zniechęcać.

Bywa znów, że dziecko uchodzi w szkole za leniwe, a jest poprostu słabowite. Rodzice, na skutek opinii nauczyciela, zmuszają je do pracy w domu. Dziecko przychodzi do szkoły przemęczone, nic dziwnego, że nie potrafi na lekcjach uważać.

Zresztą, szkoła wymaga uwagi biernej, a są dzieci które choć w szkole nie umieją uważać, są zdolne do pracy samodzielnej, czynnej.

Od zagadnień nauki szkolnej przeszedł dr Redl do zagadnień wychowawczych, cały wykład poświęcając kwestii kary. Dwie skrajne postawy istnieją co do tej kwestii: 1) kara w wychowaniu jest niezbędna, nieunikniona (stwierdza się to z przekonaniem i nie bez pewnego zabarwienia uczuciowego), 2) kara jest niedopuszczalna.

Ze stanowiska psychologii kara nie jest bynajmniej jedynym środkiem wychowawczym. Istnieją inne środki, choćby nagroda, czy to przez słowo zachęty, czy przez okazanie uczucia, czy też przez dostarczenie jakiejś przyjemności, lub rozrywki.

Co do kary, to prawdziwie pedagogiczna kara powinna tak być zastosowana, żeby dziecko w osobie dorosłej nie widziało sprawcy kary, ale żeby odczuło, że jest ona konsekwencją jego własnego postępku. Wtedy siły kontr-agresji, jakie kara budzi w dziecku, zwrócą się przeciwko niemu samemu, a o to przecież idzie wychowawcy, żeby wychowanka pobudzić do pracy nad sobą.

Dr Redl na podstawie swej praktyki pedagogicznej i poradniczej przeciwstawił się bezwarunkowo wszelkiej karze cielesnej. Powoływał się na ankietę, przeprowadzoną w szkołach wiedeńskich, w której dzieci szczerze się wypowiadały co do uczuć, jakie w nich wzbudza bicie: uczuć poniżenia, mściwości, buntu, nienawiści, które głęboko zapadają w młodociane dusze. Kto taką ankietę przeczytał, ten już nigdy nie potrafi podnieść ręki na dziecko.

Jeżeli idzie o skuteczność kary, to nie wystarczy, jeśli zahamuje ona niepożądaną czynność, nie to jest celem wychowawcy, a przekształcenie psychiki dziecka. Kara tu nie wystarczy, a często bywa, że zamiast karać — należałoby leczyć.

Od zagadnienia kary przeszedł prelegent do zagadnienia kwalifikowania nauki dziecka, a więc do kwestii egzaminów, tyle dziś dyskutowanej przez psychologów i pedagogów.

Strach przed egzaminem bywa „naturalny": dziecko boi się, bo nie umie. Bywa jednak, że nie potrafi ocenić, czy umie dostatecznie. Wtedy lęk jest wprawdzie normalny, ale samokrytycyzm — nie. Takim dzieciom trzeba dodać wiary w siebie. Gorsza sprawa, kiedy lęk wynika z obawy przed konsekwencjami egzaminu. Dzieci boją się gniewu nauczyciela, ale częściej jeszcze gniewu rodziców, awantury w domu. Rodzice różnie reagują na niepowodzenie szkolne dziecka. Jedni karzą je przez okazywanie, jak się czują nieszczęśliwi z powodu złego stopnia (co za wstyd, co ludzią

powiedzą, syn sąsiada ma same piątki itd.). Inni zrzędzą na dziecko dzień w dzień, systematycznie, zatruwając mu wszelką radość z pracy. Inni rozpaczają cicho: („wiedziałam, że nie będę miała pociechy z dzieci”). Matka, która zamyka się w swoim pokoju, bolejąc nad klęską dziecka, przyczynia się do utrwalenia w nim strachu przed egzaminami wcale nie mniej od ojca, który za zły stopień sprawia lanie.

Dla nauczyciela straszenie złym stopniem jest czasem pożyteczne, żeby dzieci pobudzić do wysiłków, ale tą groźbą nie należy szafować, bo miast stać się bodźcem, może ona zahamować w pracy.

Bywają dzieci, u których lęk przed egzaminem przybiera charakter neurotyczny, chorobliwy, tu już potrzebna bywa interwencja psychoterapeuty.

Dla nauczyciela ważnym zagadnieniem wychowawczym jest psychologia grupy. Dzieci w gromadzie zachowują się inaczej, niżby się zachowało każde z nich z osobna. Do zbiorowości nie można stosować tych samych metod, co do jednostki. Można zapisać niesfornego ucznia do dziennika, ale zapisanie całej klasy przestaje już być karą skuteczną.

O psychologii grupy wiemy mało. Nie wiemy, jak się kształtują zmiany w psychice klasy szkolnej. Czasem z ubyciem jednego ucznia zmienia się zupełnie duch całej klasy.

Klasa szkolna, to grupa o pewnej strukturze. Dzieci, które są razem po raz pierwszy, nie mają między sobą kontaktu, wspólne przeżycia kształtują ich psychikę, stanowiąc więź grupową. Nieraz energiczniejszy uczeń wysuwa się na przywódcę, nadaje ton klasie. Bywa, że klasa nie może się zżyć, nagle wybucha spór z inną klasą i odrazu wytwarza się jedność, ale taka jedność nie jest trwała, istnieje tylko, dopóki trwa walka. Na takiej jedności, która z nienawiści wypływa, nie można budować.

Również i sport niewiele się przyczynia do sublimacji instynktów.

Rozdźwięk w klasie powoduje często wyróżnianie niektórych uczniów przez nauczyciela, to też trzeba tego się strzec. Nie należy również pobudzać w dzieciach ducha rywalizacji.

Wiele można osiągnąć przez kontakt z uczniami, przez osobiste rozmowy poza lekcjami, przez lepsze ich poznanie, a także przez poznanie rodziców, środowiska rodzinnego.

Trudno jest ustalić jakąś typologię rodzicielską, są jednak pewne błędy wychowawcze, które się często powtarzają.

Błąd wychowawczy, najczęściej popełniany przez matki polega na tym, że chcą one utrwalić sytuację bezradnego niemowlęctwa, kiedy były dziecku niezbędne. „Dziecko jest tylko dzieckiem”. Zamiast mu dopomóc, żeby się usamodzielniało stopniowo, chcą je utrzymać w bezradności. Na tym polega szkodliwość rozpieszczania.

Ojcowie zato skłonni są do innego błędu: chcieliby w dziecku już widzieć przyszłego dorosłego człowieka, chcą żeby się zachowywało jak dorosły, a nawet za dorosły człowiek.

Co do stosunku do szkoły, jedni rodzice identyfikują się ze swymi rodzicami, żądają bezwzględnego poszanowania autorytetu, narzucają swoją wolę, chcą decydować o linii rozwoju, jaką ma obrać dziecko. Inni znów przeżywają na nowo własny bunt przeciwko autorytetowi starszych, zato wymagają od nauczyciela żeby był surowy, chcą żeby kto inny wziął na siebie przykrą rolę autorytetu, a w domu psują całą pracę wychowawczą szkoły.

Te wszystkie odcienie w postawie rodziców może nauczyciel wyczuć z ich ustosunkowania się do szkoły.

W stosunku do dziecka, bywają rodzice „zakochani” w swoich dzieciach. Stają się zazdrośni i zachłanni, ale dziecko szybko się buntuje przeciwko takiej miłości. To samo bywa z rodzicami, którzy rozpieszczają dziecko, chcąc je utrzymać jak najdłużej w zależności od siebie. Tacy właśnie najprędzej tracą przywiązanie dzieci.

Bywa również, że dziecko jest dla rodziców środkiem do zaspokojenia własnej ambi-

cji. Jedni się nim popisują, jak lalką czy pieskiem, inni pchają w nie wiadomości, żeby móc się nim poszczycić.

Do rodziców ambitnych należą i ci, którzy sami przeszli przez wiele rozczarowań, i chcą, żeby dzieci spełniły ich zawiedzione nadzieje. Stają się despotyczni, gdy dziecko okazuje inne upodobania, niż te, któreby mu chcieli narzucić. Tacy rodzice marnują życie i szczęście swoich dzieci, gdy idzie o wybór zawodu, czy o małżeństwo, a w życiu szkolnym są przyczyną wielu trudności w nauce dziecka.

Wśród innych typów wychowania rodzicielskiego wspomina jeszcze dr Redl wdowę, która popełnia zwykle ten błąd, że chcąc być dziecku i ojcem i matką zaczyna od rozpieszczania dziecka, aby w pewnym momencie przejść w nadmierną surowość. Ta sama nierówność w postępowaniu cechuje zresztą i ojców-wdowców.

Istnieją patologiczne sytuacje rodzinne. Np. kiedy rodzice nie chcieli mieć dziecka. Dziwny jest los takich dzieci niepotrzebnych. Bywa, że matka stara się wmówić w siebie, że dba o dziecko, przesadnie się troszczy o nie, ale dziecko podświadomie wyczuwa, że coś nie jest w porządku.

Niechęć do własnego dziecka przejawia się np. czasem w tym, że niektórzy rodzice nie chcą, żeby się ich dziecku dobrze powodziło. Są niezadowoleni ze szkoły, jeśli szkoła dziecko chwali. Tak bywa, kiedy np. dziecko służy jako środek rozgrywki między małżonkami. „Z twojego dziecka nic dobrego nie może wyrosnąć".

Wszystko to bywa przyczyną zahamowań psychicznych, wykolejeń i wypaczeń psychiki dziecka. Psychoterapeuta, który chce tu dopomóc, musi sięgnąć do źródła zła — do rodziców. Moralizowanie nic tu nie pomoże. Trzeba rodziców doprowadzić do tego, żeby sami poznali swe błędy wychowawcze, oraz ich źródło psychiczne. Potrzebne byłyby poradnie psychologiczne nie tylko dla dzieci, ale i dla rodziców. Dr Redl twierdzi, że zadaniem przyszłości jest stworzenie nowej instytucji: psychologów rodzinnych, którzy wyjaśniając rodzicom źródła ich błędów, ustrzegą ich przed wypaczeniem psychiki ich dzieci.

J. B.

POLSKIE TOWARZYSTWO HIGIENICZNE
WESPÓŁ Z INSTYTUTEM HIGIENY PSYCHICZNEJ.

organizuje

Cykl odczytów z zakresu higieny psychicznej i wychowania dziecka.

Odczyty odbędą się w sali Polskiego Towarzystwa Higienicznego co piątku od godz. 20 — 22, przy ulicy Karowej 31.

P r o g r a m o d c z y t ó w:

2.IV. Co to jest higiena psychiczna? 2.IV. Metody poznania dziecka. 9.IV. Rozwój dziecka w 3 pierwszych latach życia. 9.IV. O zabawach i zabawkach dziecka. 16.IV. Upór dziecka w wieku przedszkolnym. 16.IV. Rozwój dziecka w okresie przedszkolnym. 23.IV. Dziecko nieśmiałe i lękliwe. 23.IV. Rozwój mowy u dziecka, Zaburzenia w rozwoju mowy. 30.IV. Wpływ dziedziczności i środowiska na rozwój dziecka. 30.IV. Zagadnienie dojrzałości szkolnej. 7.V. Rozwój dziecka w okresie szkolnym. 7.V. Racjonalna organizacja dnia ucznia. 14.V. Przyczyny niepowodzenia dziecka w szkole. 14.V. Podstawy psychologiczne metod wychowawczych i psychologicznych stosowanych w szkole. 21.V. Dziecko opóźnione w rozwoju umysłowym. 21.V. Kłamstwo u dzieci i młodzieży. 28.V. Rozwój dziecka w okresie dojrzewania. 28.V. Zagadnienie autorytetu w wychowaniu. 4.VI. Zagadnienie wyboru zawodu. 4.VI. Światopogląd młodzieży. 11.VI. Drogi młodzieży do samokształcenia i samowychowania. 11.VI. Dyskusja końcowa na tematy wysunięte przez rodziców.

Oprócz odczytów odbędą się dla uczestników, którzy wykupią bilety na cały cykl, następujące wycieczki: 1) do przedszkola, 2) do szkoły powszechnej, 3) do poradni higieny psychicznej, 4) do Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej, 5) do Poradni Zawodowej, 6) do Świetlicy dla Młodzieży.

Informacje w biurze Polskiego Towarzystwa Higienicznego, ul. Karowa 31 w godz. 9 — 13.

MIGAWKI.

Pani Z. nauczycielka, od wielu już lat pracująca w gimnazjum, opowiada na pauzie paru starszym uczenicom o swoim siedmioletnim synku, jaki to on jest inteligentny, mądry, uczuciowy.

„Powiadam wam, Staszek zachwyca mnie swoją umysłowością. A jakiż on dowcipny, jaki subtelny i jaki już dorosły w powiedzeniach. Wczoraj bardzo zdecydowanie oparł mi się, gdy chciałam, aby został w domu z powodu złej pogody, a on chciał koniecznie iść do kolegi, oddać pożyczoną książkę. Jakich on argumentów używał! Powiadam wam, pierwszy raz zobaczyłam, że takie małe dziecko, to już człowiek jednak" — zakończyła, jakby olśniona odkryciem.

Uczenice spojrzały po sobie znacząco. Mignęły im w pamięci pierwsza, druga klasa, gimnazjum, strach przed tą nauczycielką, jej despotyzm i groza, siana w klasie. Czemu to Staszka nie było jeszcze wtedy na świecie, żeby pomógł zobaczyć jej i c h c z ł o w i e c z e ń s t w o?...

✵

Mała Helenka jest córką praczki i bezrobotnego. Jest wątła, ma brata gruźlika i wielką biedę w domu. Przez siedem lat szkoły powszechnej poważną pozycję w jej odżywianiu stanowiły śniadania, które zamożniejsza młodzież gimnazjalna dostarcza dla szkół powszechnych.

Po skończeniu „powszechniaka" Helenka zapragnęła uczyć się dalej. Była zresztą zdolna i pilna. Rodzice chcieli ją koniecznie oddać do gimnazjum, żeby była mądrzejsza od nich, żeby wykształciła się „na panią", to jej lepiej będzie na świecie. Matka upierała się przy tym i wreszcie Bóg wie jakim cudem umieściła Helę w gimnazjum prywatnym.

Dziewczynka uczy się dobrze, jest pilna. Nic to, że mizernieje i blednie z każdym dniem niemal, rodzice nie widzą tego, dumni, że Hela wspina się ku górze, gdzie im dojść nie było danym. A w domu brat gruźlik pluje co raz więcej, matka słabnie od ciągłej pracy, a bezrobotny ojciec traci autorytet, bo nie żywi rodziny.

Hela chodzi do gimnazjum i to biedne, niedojadające dziecko zanosi co drugi dzień do szkoły śniadania „dla biednych dzieci z powszechniaka", takie, jak sama kiedyś dostawała. Matka myśli, że tak trzeba i z żalem żegna posmarowaną szmalcem kromkę chleba, znikającą w podartej teczce Heli. Bo Hela się wstydzi być gorszą od innych koleżanek i co drugi dzień przynosi chleb, chociaż sama prawie zawsze jest głodna.

Czy nie należałoby dokładniej wglądać w te sprawy?...

✵

Wieczorem widziano w Alejach Ujazdowskich wysmukłego ucznia, w mundurze z czerwonymi obszywkami, pod rękę z drobną, szczupłą blondynką z zachwytem spoglądającą ku niemu. Pani ufnie opierała się na silnym ramieniu chłopca, a on prowadził ją z godnością, starając się swój długi krok dostosować do szybkich małych kroczków towarzyszki. Ktoś bliżej przechodzący usłyszałby przypadkiem wśród rozmowy pieszczotliwe „mamusiu..." i dojrzałby w oczach pani czuły wyraz dumy macierzyńskiej. Ale na to trzeba by iść bardzo blisko i długo obserwować.

Nie wiem, może to plotki, ale podobno w związku z ostatnimi zarządzeniami, że nie wolno uczniom chodzić pod rękę z kobietami, podszedł do nich policjant, aby wylegitymować młodzieńca tak karygodnie lekceważącego sobie przepisy. Ku swemu zdumieniu usłyszał: „Ależ panie! To mój syn. Właśnie wracamy z wizyty".

A może by umyślić jakieś oznaki dla matek, które mimo dorosłych dzieci zachowały dziewczęcą sylwetkę i wygląd i z tego powodu mogą wprawiać swych synów w kolizję z zarządzeniami policyjnymi.

✵

„Wesele Figara"... Mówią wszyscy — dobra rzecz, dobra gra. Pikantne powiedzonka, humor, dowcip. Są szkolne przedstawienia. Szkoła in corpore idzie na popołudniówkę. Właśnie o to chodzi. Czy posłano by również młodzież na sztukę współczesną o podobnych problemach i co mówiono by o tym? Czyżby problem, dokoła którego obraca się cała sztuka, nabrał cnotliwości tylko dlatego, że... odleżał się parę wieków?...

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W DOMU, W SZKOLE I W ŚRODOWISKU.

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH opłacających prenumeratę zbiorową (od 10 egzemplarzy) wynosi 70 groszy za numer

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie w Warszawie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA”, Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.